

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 15 WRZEŚNIA 1930 ROKU

NR. 37

TREŚĆ NUMERU: Oszczędność energii — *M. Benisławska*. Z areny międzynarodowej — *Zofja Reutt-Witkowska*. Poezja: „Dom” — *H. Januszevska*. Nieudana sprawa (c. d.) — *Kazimiera Mazurkova*. Weck-end nad Bugiem — *M. Dobrowolska*. „Baj... baj...” — *J. Putiatycz-Surynowa*. Z książek — *S. P. O.* Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Człowiek kulturalny — *L. Gerlachowa*. Nowoczesny wazon na kwiaty i jego walory dekoracyjne — *Helena Wolska*. Włos i jego budowa — *Dr. med. Zofja Roszkowska*. Kaczki (dok.) — *A. D.* O kuchni żydowskiej — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Na wycieczki samochodem — *Well*. Dodatek powieściowy: „Kraśka w jarzębinie” — *Zofja Reutt-Witkowska*. Arkusz wzorów.

OSZCZĘDNOŚĆ ENERGJI

Z przyrodzenia nie jesteśmy oszczędnym narodem, choć są pomiędzy nami skąpcy, sknerzy, dusigrosze, zarówno jak rozrzutnicy i trwonicy — ale przede wszystkim nasz brak oszczędności spowodowany bywa brakiem umiaru, opanowania, ładu. Co gorsza lubujemy się tym naszym „nadmiarem temperamentu”, tem nastrojowem nieokiełznaniem, doszukując się w tem elementu piękna. Nietylko nie oszczędzamy, ale oszczędność nie ma u nas uznania i sympatii; nawet oszczędny z natury usiłuje udawać rozrzutnego.

Rozrzutni zaś, bezradnie i bezmyślnie, bywamy nietylko w dziedzinie materialnej, ale także i moralnej. Być może, jedno z drugiem się łączy tak, że niecelowość i dorywczość w używaniu nabytego dobra materialnego pochodzi właśnie z wewnętrznego nieopanowania psychicznego.

Wogóle sferę myśli i uczuć uważamy za coś nie nadającego się absolutnie do skontrolowania, a zwłaszcza do opanowania przez wolę. W potocznym życiu wciąż się powtarza: odpowiedzialni jesteśmy za nasze czyny, ale za myśli, za uczucia — żadną miarą! „Serce nie sługa, nie zna, co to pany” — śpiewały nasze babki, i my po dziś dzień mamy w uchu tę melodję.

A jednak nie może być opanowania czynu, nie może być ładu i porządku w całym naszym zewnętrznym życiu, o ile nie opanujemy tego, co jest źródłem wszelkich poczynań: sfery myśli i afektu.

Absolutne rozkiełznanie myślowe, brak uwagi, tak jak i niemożliwość kierowania impulsem afektywnym są objawem zupełnie normalnym u całkiem ma-

łych dzieci; są one pozbawione możności zatrzymania uwagi choćby przez chwilę dłużej na przedmiocie, który przestał być dla nich w danej chwili interesujący, podobnież afekt, wyłaniający się pod wpływem jakiej bądź pobudki, opanowuje ich świadomość, narzuca jej się wszechwładnie.

Jednak u człowieka dorosłego analogiczny objaw poczytywany powinien być za symptomat zatrzymania się w rozwoju, a stanowczo za dowód niewysokiej kultury psychicznej.

Na zapytanie, czy możliwem jest dla każdego takie uporządkowanie swego życia zewnętrznego, jak np. planowy rozkład czynności codziennych, odpowiedzieć należy bezwzględnie twierdząco. Każdy może zdobyć sobie, idąc od łatwych do coraz trudniejszych opanowań, wprawę i nawyki, które są w myśl przysłowia drugą naturą.

Gdyby ktoś, jako dowód, że biegła gra na fortepianie jest dla ręki ludzkiej niedostępna, dokonał próby zagrania najprostszego utworu muzycznego przez stu ludzi, którzy po raz pierwszy w życiu zobaczyli fortepian — potraktowalibyśmy ten rodzaj wniosko-
wania humorystycznie. Jednak, gdy chodzi o samo opanowanie psychiczne, rozumiemy analogicznie. Próbujemy — ni stąd ni zowąd — opanować się w chwili silnie narzucającego się nam afektu lub biegu myśli, chcemy nagłym, doraźnym nakazem woli oderwać uwagę od... grożącego niebezpieczeństwa, od silnego bólu fizycznego, od gwałtownie narzucającego nam się uczucia gniewu, miłości, nienawiści, etc. i, gdy się to okaże wręcz niewykonalnem, nabieramy

przekonania, że rzecz jest nad ludzkie siły, że tu wola człowieka, nie wiem jak wysilona, nie sięga swoją mocą.

Zapominamy, że tam, gdzie jednorazowe porwanie się nic nie wskóra, dojść można — krok za krokiem, szeregiem mądrze obmyślonych i planowo przeprowadzonych wysiłków. Zupełnie jak przy fizycznej pracy, gdzie o powodzeniu decyduje wprawa, nawyk. wolne przejście ze sfery świadomie skoordynowanych czynów w sferę zmechanizowania odruchów podświadomych.

Wewnętrzne opanowanie się jest koniecznym warunkiem opanowania zewnętrznego i ustalenia życiowej organizacji czynów.

Wewnętrzne opanowanie, w większym czy mniejszym zakresie, jest dostępne dla każdego, kto rozsądnie zechce pracować nad sobą w danym kierunku.

Wewnętrzne opanowanie da nam najpierw możliwość zaoszczędzenia ogromnej ilości energii, wyładowywanej bezcelowo i beładnie, a następnie umożliwi skierowanie tych oszczędności w pożądanym kierunku.

Tylko, chcąc mieć gwarancję powodzenia, pamiętać należy, że zaczynać winniśmy nie od końca, nie od najtrudniejszych rzeczy, tylko od „wprawek“, nie nięznaczących napozór — tak, jak czyni człowiek, uczący się gry na fortepianie, lub gimnastyk, dążący do atletyki.

Nie próbujmy tedy, narażając się na zniechęcenie i pewne fiasko, opanować czynu, zanim nie opanowaliśmy samej pobudki tegoż czynu. (Nie: nie uderzę, tylko: nie pozwolę sobie na uczucie gniewu).

I cierpliwie, systematycznie zaprawiamy się do opanowania, do rozumowej kontroli nad każdym odruchem psychicznym.

Nie pozwolimy sobie na dowolne błędzenie myślą, marzenia bez określonego celu i kierunku przez pewien określony czas, kiedy właściwie to opanowanie nie jest nam narzucone niejako z zewnątrz (przez pracę obowiązkową etc.); będziemy uważali na coś — myśleli o czymś określonym tylko dlatego, że *chcemy*, żeśmy postanowili o tem myśleć (ćwiczenie pozytywne); przestaniemy myśleć o... treści książki przeczytanej przed chwilą, o (niebardzo nas pochłaniającym) wypadku dnia—(ćwiczenie negatywne). Zasiadając do interesującej lektury, zgóry określimy sobie, że przeczytamy daną ilość stron czy rozdziałów — i dotrzymamy tego jedynie dlatego, żeśmy tak postanowili. Nie opowiemy danego wydarzenia nikomu; w chwili braku nastroju porozmawiamy właśnie wesoło i

uprzejmie z daną osobą. Oto jest cały szereg wprawek, dających się nieskończenie urozmaicać.

Nie łudźmy się, że osiągniemy rezultat tuż zaraz. Niekiedy i niektórzy muszą na nie czekać dość długo, zwłaszcza przy braku ciągłości w pracy nad sobą, ale że „nie ginie w naturze“ — nietylko w świecie materji, więc i celowy wysiłek ludzkiej woli nie może nie dać żadnego plonu.

Niekiedy poprostu zdumieni będziemy własnymi możliwościami.

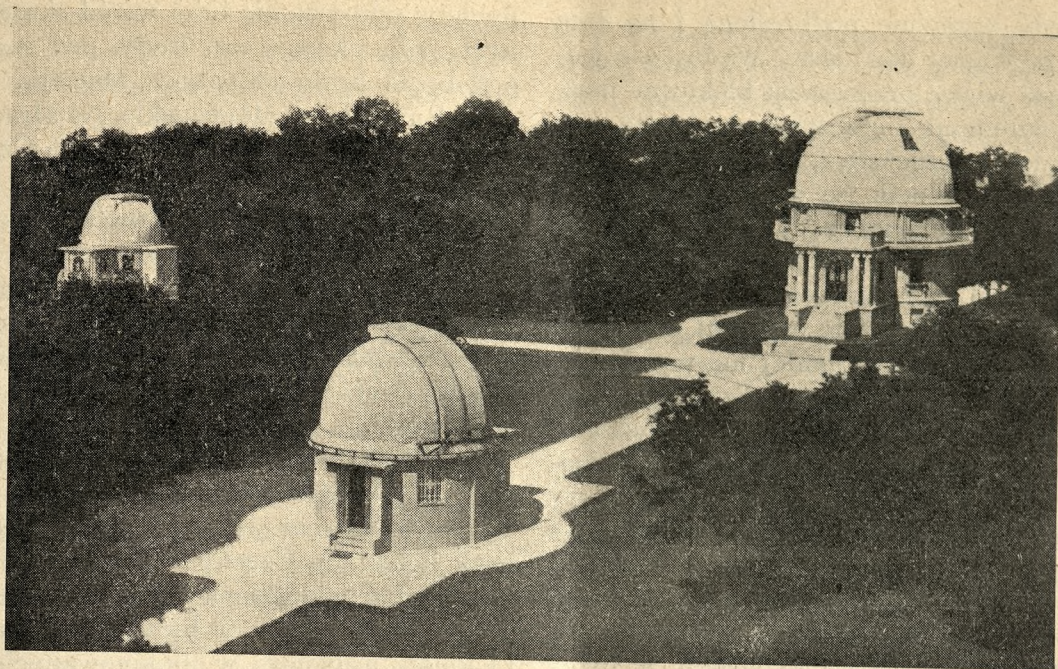
Przy skierowaniu krytycznego sądu na nasze wewnętrzne, psychiczne wyczyny, przekonamy się niebawem, jak dużo siły i energii uchodziło w te właśnie nieokielznane i zbędne afekty, jak nieprzejrzaną mnogość z pomiędzy nich zaliczyć nam wypadnie do faktów czy myśli nietylko niepotrzebnych, ale wręcz zgubnych i wybitnie szkodliwych. Cały np. szereg codziennych drobnych zniecierpliwień gdy... nagle, przy pośpiesznem pisaniu prysnął atrament ze stalki, gdy popełniliśmy przeoczenie lub błąd, gdy nam się ktoś sprzeciwił... Prawda, będziemy zmuszeni na nowo zrobić nieudaną poprzednio pracę, poprawić szczegół, przerwać robotę — jest to przykre, ale jądro przykrości to ów wewnętrzny kurcz gniewu, zniecierpliwienia, który jest bardzo ważkim a zgoła niepotrzebnym dodatkiem do niepomyślnego zdarzenia. Gdy nauczymy się na wszelkie tego rodzaju zdarzenia reagować absolutnym spokojem, zdziwi nas samych, jak znacznie lepszym stanie się, przez usunięcie psychicznych wstrząsów, nasz dzień pracy.

Fakty pozostaną te same: trafi się błąd, zniwelający do nowego nakładu pracy, otoczenie będzie nam przysparzać motywów zniecierpliwienia, upokorzenia, gniewu — ale bez skutków, idących wgląd, bez zaczepienia o nasze wewnętrzne ja. Będziemy reagowali rozsądnie i celowo, ale wypadkom, rzeczom i ludziom nie damy szarpać swojej duszy. Stanie się ona wolnym regulatorem naszego życia, nie, targanym przez każdy podmuch, żaglem. Ogromna ilość zaoszczędzonej energii będzie do naszej dyspozycji, odżywczo działając zarówno na organizm fizyczny, jak i na ustrój nerwowy.

Ład i spokój wewnętrzny odbija się ładem i spokojem zewnętrznych poczynąń. Przestaniemy lubować się naszą rozlewnością, naszem wieczystem rozsądzaniem ram, wyłamywaniem się z pod prawa, przelewaniem się przez granicę wszelką. Tym objawom nadamy tytuł im należny: niedorozwój psychiczny, a siłę i piękno życia wyczujemy właśnie w jak najgłębszym i jak najzupełniejszym samoopanowaniu.

M. Benisławska.





Kopuły Obserwatorium Astronomicznego na Szabhegy pod Budapesztem.

ZOFJA REUTT-WITKOWSKA.

Z ARENY MIĘDZYNARODOWEJ

Zjazd Astronomiczny w Budapeszcie. Wystawa Higieny w Dreźnie

W połowie sierpnia odbył się w Budapeszcie 29-ty zjazd T-wa Astronomicznego (Astronomische Gesellschaft). Towarzystwo to, którego członkami są, zasadniczo, wszyscy astronomowie niemieccy, jest, ustawowo, towarzystwem międzynarodowym. Zjazdy odbywają się co dwa lata. Poprzedni był w Heidelbergu, następny będzie w Getyndze. Zjazd przynosi nader obfity materiał odczytowy dla grona uczestników zjazdu.

Uczestników było, tym razem 156, w tem 43 panie, z których kilka fachowych astronomek. Dwaj japończycy. Ksiądz z Hiszpanji. Para z Włoch. Reszta — kraje północne. Z Polski trzy osoby. Nieco innych słowian. Amerykanie, ponoć, wybierają się do Europy jedynie, gdy obecności ich wymaga choć parę zjazdów, mniej więcej w tym samym okresie odbywających się. Francuzi nie przybyli.

Do spraw naukowych — polityki, teoretycznie, mieszaćby nie należało. Wręcz przeciwnie: człowiek dobrej woli udaje się na zjazd, ożywiony ideą zbliżenia się narodów na platformie wspólnej służby nauce, dla dobra ludzkości. W imię ideałów — Pojutrze...

Na każdym polu można zresztą spotkać i wśród Niemców gorących sympatyków pokoju powszechnego, opartego na szacunku dla kultury każdego narodu i jego praw do życia. Rzecz szczególna, sympatyków tych, odnoszących się i do nas wręcz serdecznie, spotkało się nadewszystko wśród najbliższych sąsia-

dów, tych, którzy pracują na ziemiach dawnej Rzeszypospolitej. Przypadek? Czy może fakt, że na ziemiach owych zetknęli się z kulturą polską, i, kierowani własną inteligencją, zrozumieli nas, ocenili inaczej, niż podaje to szablon, jaki krańcowy nacjonalizm niemiecki, niezniszczalna ideologia pangermańska nakłada swym wiernym, nakształt okularów, paczących rzeczywistość. Są ludzie, którzy zawsze chcą mocno wierzyć: my, nadludzie, apostołujemy światu wszystko najlepsze. Reszta zaś *europajskiego* świata składa się z gasnących szczepów romańskich i — z niedoleźnych „selawów“.

Węgry nie zawahali się na zjeździe naukowym, w przemówieniu burmistrza m. Eger — a słuchał tłum, nie tylko zamknięte grono członków T. A. — nie zawahali się poruszyć strun politycznych: wobec gości z Czechosłowacji i Jugosławji mówić o swej „okaleczanej“ ojczyźnie. My jesteśmy pełni pruderji politycznej. Nam wydaje się małoaktowną przyczepką, gdy kto zagadnie: — a gdzieżto, mianowicie, osiedlone były plemiona polskie w IX wieku? — Co, Gopło? Langensalza? — Czy nie morze Kaspijskie?! etc. I dziwił się, czulił się zaskoczeni, gdy w rozmowie towarzyskiej padło ku nam wręcz, nie z niemieckich zresztą ust, że Polska *może* za dużo dostała, mocą traktatów pokojowych. Np. Gdańsk i niektóre części kresów...

Nie jest rzeczą laików przesądzać o racjach,

jakie powodowały wyraźnie podkreśloną i na tym zjeździe sympatją Węgier dla Polski. Wydaje się jednak laikowi czemś wielce przezornem blokować możliwość spożycia z narodami, stojącymi poza rzeszą niemiecką, wobec niebezpieczeństwa, jakie wciąż czyha czarną chmurą na horyzoncie. Na to zaś wszystko, co tu poruszono i na to, co przemilczano, znaleźliśmy na-
zajutrz — a był to dzień 13 sierpnia — słowo po-
krzepienia w Pester Lloyd, Morgenblatt. W. Martin, redaktor dzienników genewskich, omawiał tam spr-
wę niemiecko-polską i to bynajmniej nie pod kątem
szczególnych sympatyj polskich. Czytamy tam
o Gdańsku i Gdyni. O możliwości ich współistnie-
nia, jeśli Gdynia obejmie wyłącznie eksport drobnico-
wy. Wzrost Gdyni nazwano tam wręcz „cudem, wy-
bitnem zaznaczeniem istnienia Polski, i więcej —
zaznaczeniem jej potęgi. Niejednokrotnie powiadano
o polakach, że nie są organizatorami, nie posiadają
zdolności budowania państwa, oraz przeprowadzania
rzeczy do końca. Polska chciała tu światu, a zwła-
szcza Niemcom, pokazać, do czego jest zdolną. Po-
wiodło jej się to nad wszelkie spodziewanie!”.

„Nieproduktywny“ Sclavus emancypuje się!

* * *

Droga do Drezna wiodła przez Pragę. Odpo-
wiednio, być może, nastawieni psychicznie, szczegól-
nie reagowaliśmy na ruiny i paradne gmachy praskie.
Na gmachach tych wybił się niemiń, jak na wspa-
niałościach Budapesztu, stempel dobrodziejstw habs-
burskich, który spowodował owo podobieństwo op-
tyczne cesarskich miast stołecznych do miniatURY mo-
numentalnego Wiednia, od którego imitowanych prze-

nych oddycha się lubo wśród skromnych szlachet-
nych pałacyków starej Budy, pod strażą wspomnień
o dobrym królu chłopków, Macieju.

Ruiny są — słowiańskie. Na Hradczynie spoczął
dzwon. Dar Ameryki Wyzwolonym Czechom. Na pra-
starym zaś Wyszehradzie spoczywa w Panteonie wiel-
ki mistrz słowa czeskiego, wielkie serce, które głosiło
wielu, słuchać niegdyś niechęcącym, jaki jest duch
prawdziwy Samka-Ptaka, któremu germanin chleb
nawet rzuca tak, że wyda ci się kamieniem. Gorzej,
gdy wytwornie podaje ci jad, zatrujący samopo-
czucie twej odrębności kulturalnej. „Danajów się
strzeżmy!”.

W Slawinie ludzi wolnych leży Juljusz Zeyer.

W Dreźnie międzynarodowa wystawa higieny.
W pawilonie narodów, dwudziestu narodów świata,
brak Polski. Są Czechy, Jugosławja, Litwa. Na miej-
scu bardzo widocznym księga jubileuszowa miasta
Wilna (1523—1923), w litewskim, oczywiście, języku.
O Polsce najwięcej w iluminowanych mapach Czer-
wonego Krzyża, przedstawiających „gniazda zarazy”
w Europie. Polska figuruje tam, jako jeden z ośro-
dów ospy i tyfusu plamistego. Uważniejszy turysta
polski widzi z ulgą, na innym schemacie, że od r.
1919—1929 ospa, dzięki przymusowemu szczepieniu,
spadła u nas z pokaźnej cyfry 3498 wypadków do
20-tu. Wśród ludów cywilizowanych Europy spadła,
przeważnie, do zera. Co do tyfusu plamistego zajmu-
jemy drugie miejsce. Ustępujemy jedynie... Sowietom,
gdzie, w stosunku do ilości głów, zachorzeń jest dwa
razy więcej.

Na wystawie w Dreźnie reprezentowane są So-
wiety. Obszerne pomieszczenie. Trochę zabawek, tro-



Drezno. Fontanna z pięknym architektonicznym tłem.

chę wyrobów kosmetycznych — mydeł toaletowych i wody kwiatowej (burżujskie to, przecie, wybryki!). Modele produktów spożywczych, niewątpliwie niemieckiego wyrobu. Tu i owdzie książki. Weźmy pierwszą z brzegu. Na obskurnym papierze *Tania biblioteka samouka* (proswjeszczenia), P. P. Błonskij, *Pedagogja w massowej szkole pierwszej stopni*, 1930. Uwaga! książka, opatrzona stemplem, kwalifikującym ją na wystawę, oprawiona... do góry nogami (!). Na str. 157-8 czytamy zeznania dzieci o tem, jak, dzięki szkole, wyleczyły się z „zabobonów domowych”, przestały wierzyć w Boga, bo powiedziano im, że to wymysł ludzki (dosłownie), przestały chodzić do cerkwi. W domu zmuszają ośmioletnią dziewczynkę głodem, by modliła się. Mała bohaterka idei głodna — ale, z zapalem i dobrą wiarą dziecięcą — nie modli się! Tem niemniej statystyka szkolna wykazuje jedną trzecią dzieci wierzących w „dawne zabobony” o piekle — i niebie. Prócz tego dużo fotografii tłumu, sprawiającego wrażenie ugrupowanych ad hoc statystów teatralnych, którym kazano uzbroić się w przyjemny wyraz twarzy, by reprezentowali błogość komuny, oddanej pracy czy wypoczynkowi. W domu komunalnym fotografia zgromadzenia, autentyczna niewątpliwie. Po jednej stronie mężczyźni z twarzami, podszytymi lisem i wilkiem, po drugiej kobiety. Jakże charakterystyczne! Z oczu wзира głębokie znękanie fizyczne i moralne: twarze zmięte. Wśród nich parę fizjonomij niewiast buńczucznych, wesołych. Jedyna tam rzecz, bardzo odpowiednia dla domu ludowego, dla zakładu wychowawczego: na każdej sztuce serwisu napis, treści higienicznej: myj ręce przed jedzeniem! nie używaj wspólnego naczynia! etc.

Po tragicznym ubóstwie tych eksponatów Niemcy wodzą okiem życzliwym. Śledzą z żywym zainteresowaniem wzrost tych „słowiańskich” republik. Baczność! Gra polityczna, czy też odruch ratującej się woli do życia: zamaskowany, przeważnie, być może, nieświadomy siebie imperjalizm pangermański blo-

kuje coraz wyraźniej z Sowietami. Wspiera się Sowiety materialnie i moralnie. Bo te republiki to ferment, zaszczerpiony słowiańskiemu Jutru.

Dwoistość kultur — zachodniej i bizantyjskiej — była zdawien dawna tem fatum, rozprzegającym spoiwość słowiańskiego frontu, a sprzyjającym wzrostowi ducha pangermańskiego. Teraz — na przekór zasięgom sieci Pietrowej — urasta nowe fatum. Międzynarodowa, a raczej antynarodowa komuna. Antynarodowa póty, pokaż jej na usługi swego imperjalizmu nie obróci baczny, dalekowzroczny Duch Germański. Baczność więc u progu dnia ludów *młodszych*! Wśród nich naturalny prymat, choćby tylko liczebny, dźwierzają Polacy. Tych więc zniszczyć. Zaciśnąć nożyce niemiecko-sowieckie. Z resztą niema się co liczyć! Polacy, blokujmy przezornie z tą resztą!

Na zakończenie tych doznań i rozważań cytuję ze „Schlesische Volkszeitung” (19.VIII). Głos czytelnika, proboszcza, w sprawie polskiej ekspansji kolonizacyjnej. Polski lud woła wielkim głosem Ziemi! Ziemi! Umie się ograniczyć w potrzebach, pokrzepia się myślą, że wkrótce dzieci pomagają starszym w pracy na roli. „Bóg nam dopomoże. I — jakoś to będzie!”. I jest, jest, „es geht immer” — dodaje proboszcz. „Nie znam ani jednego wypadku, by nie szło”. Światły ten proboszcz doskonale orjentuje się, że polska ekspansja na Zachód to bynajmniej, nie inspirowana chłopu robota polityczna, o którą wszczyła się bezpotrzebnie alarm w Reichstagu. „Zwycięstwo w cichej i nieuchwytnej walce o Ziemię na Wschodzie nie będzie przy tym narodzie, który umie lepiej kalkulować, lecz przy tym, który ma więcej woli do życia, wiary i — dzieci”.

Znamienna pochwała religijności, tych starych zabobonów, oraz jej wyników społeczno-narodowych, w ustach bezstronnego cudzoziemca, który podobne zdobycze radby liczył po stronie swego ludu.

Raz jeszcze: widzieć, słyszeć. Wiedzieć — i przewidywać.

H. JANUSZEWSKA.

(Z CYKLU „EXODUS”).

D O M

Nadarmo wiatr mnie szarpie —
wzrok zżera ostry piach.
Gnam przez noc i przez ciemność,
przez mękę — poprzez strach!

Huczące wielkie drzewa
nad głową dzwonią grają.
Groza się czai w mgłach —
potworny, szary pająk.

Puste migocą okna,
dalekie i srebrzyste.
Jeno krok! Jeno krok!
Chryste!...

Szarpię się z drzwiami sieni —
wdzieram się w każdy kąt...
Puśćcie mnie! puśćcie! puśćcie!
Jestem stąd!

KAZIMIERA MAZURKOWA.

2)

NIEUDANA SPRAWA

— Dlaczegoż to — myślała — miałoby nas nie być stać na samodzielny pomysł? Ludzie wiedzą, że wróciłam z Ameryki i zaraz dopatrują się związku, albo podejrzewają o naśladownictwo. Gdybym była założyła moje biuro w Chicago, nikt nie posądzałby mnie tam o plagjat.

Interesa dotąd nie ruszyły się z miejsca, a praca polegała na ściśle psychologicznych roztrząsaniach. Pierwszy zgłosił się bowiem zrozpaczony szewc, którego żona chciała rozwodu, aby iść z prądem czasu. Należało przeprowadzić wywiad i obmyśleć środki, jakie skłoniłyby młodą modniśkę do zmiany zamiarów. Inne sprawy były niewiele lepsze, ograniczały się do pola działania agentów biura i prawie nie wytręcały Agaty ze stanu lenistwa. Trzymała w wielkim rygorze szczupły personel biura, sprawdzając często osobiście pracę maszynistki, chłopca na posyłki, a nawet — o zgrozo! — pani Janki, młodej filozofki, właśnie od owych roztrząsań psychologicznych. Ale dziś chciało jej się próżnować. Po pensjonarsku zagapiła się na rozkwitłe drzewo i wdychała leniwie parującą od upału wilgoć. Tak ją zastała pani Mina Lempke.

— Dzień dobry, moja kochana! Nie masz pojęcia, jak się zdenerwowałam... Ten Karol!... Pozwolisz mi usiąść? I może masz jaką wodę sodową, czy selcerską, wszystko jedno. Tak dziś gorąco!

Mówiąc, rzuciła się na fotel Agaty, przechyliła się w tył, i zerwała z głowy kapelusz.

— Masz dużo roboty? Bo może ci przeszkadzam... Ale ja tylko na chwileczkę, muszę się trochę uspokoić. Nie masz pojęcia, ten Karol!...

— No, cóż takiego? — zapytała Agata, troszkę już zniecierpliwiona. Właśnie nalała Minie wody i ta zabrała się do picia, rozkoszując się przyjemnym chłodem oroszonej szklanki. Ani myślała o Karolu, zapomniała nawet, z czym przyszła. Po chwili oderwała usta od szklanki:

— Pomyśl! Taki upał w kwietniu, to coś niesłychanego. Pełno ślicznych sukien na ulicy... Ach, więc o tym Karolu! Czy wiesz, że on ma volkę?

Agata ruszyła ramionami.

— Yolka, to taka łódź. Jakby ci to powiedzieć? No, taka łódka, zresztą nie wiem, jaka, bo nigdy nie widziałam. Właśnie umówiłam się z nim, że ją przyjdę zobaczyć. Wstaję rano, jadę taki kawał drogi podczas największego skwaru i na przystani dowiaduję się, że już popłynął! Nie doczekał chwili, kiedy przyjdę, aby na niego popatrzeć. Jak ci się to podoba!?

— Powiedz mi, moja droga, a wiele się spóźniłaś? — zapytała surowo Agata.

— O, prawie wcale, jakieś pół godziny! — za-

protestowała Mina. — To znaczy, do chwili wyjazdu. Bo w drodze spotkałam tego małego Święborskiego i troszkę z nim porozmawiałam. Ale nie tak znów długo, aby Karol nie mógł poczekać!

Wspomnienie rozdrażniło ją.

— Wogóle Karol jest niemożliwy! Wiecznie albo w fabryce, albo na Wiśle. Cała rodzina już śmieje się ze mnie, że lepiejby mi było urodzić się syreną, bo częściej widywałabym swojego męża. Nie myślę dłużej tego znosić! Niech sobie złapie syrenę, ja już nie chcę go znać. Rozwodzę się.

Łzy gniewu stanęły jej w oczach. Napiła się wody i otarła ostrożnie rzęsy. (Podobno się nie odlepiają. Ale kto to może wiedzieć? Lepiej uważać). Wstała z fotela:

— No, teraz już sobie pójdę. Muszę pojechać do mamy, umówić się o pokój dla siebie, bo się zaraz wyprowadzę.

W Agacie obudziła się zawodowa żyłka:

— Pozwolisz, że omówimy tę sprawę! — powiedziała bezapelacyjnie, biorąc Minę za ramiona i sadzając zpowrotem na fotelu. — Zdaje mi się, że to wszystko polega na nieporozumieniu! Ty uważasz czas za pojęcie nieistniejące, a pan Karol, jako przemysłowiec zna aż za dobrze jego wartość... Przy odrobinie dobrej woli moglibyście uzgodnić swoje zapatrywania.

Ale Mina nie chciała słuchać. Nerwowym ruchem zapinała i odpinała guzik rękawiczki, patrząc uparcie w okno i nie odpowiadała ani słowem.

— Yachting jest bardzo miłym sportem i modnym, Mino. Bardzo modnym! — podkreśliła, chcąc poruszyć właściwą strunę. — Zresztą, zdaje mi się, że w waszej sferze wszyscy panowie zajmują się czymś, oprócz byznesu: automobilizmem, tenisem, czy kartami. A przecież wolisz mieć męża sportowca, niż karciarza, przeziąkniętego zapachem tytoniu, nieprzytomnego z niewyspania, odpowiadającego na najprostsze pytanie zawiłą kombinacją wyjść i lew...

— Ależ to wszystko jedno, moja kochana — wybuchnęła Mina, przerywając potok jej krasomówstwa. — To wcale nie o to chodzi. Karol jest niemożliwy! Nudny! Typowy niemiec! Nie mogę mu pilnować garnków, dzieci i skarpetek. Ja jestem nowoczesna, nie znoszę domu. Można być sportowcem, a mieć trochę szersze pojęcia. Weź tego Święborskiego, jak on umie rozmawiać: doradził mi dwie prześliczne suknie, a przecież gra w hokeja, jak bóstwo!

Agata przeszła się dwa razy po pokoju. Czuli, że rozumowanie Miny przekracza zakres jej pojęć, ale może przy usilnej pracy dałoby się je przyswoić. Ta nieoficjalna sprawa byłaby pierwszą właściwą spra-

wą jej biura. Należało tylko skłonić Minę, aby nie rozpoczynała jeszcze kroków rozwodowych i porozumieć się z panem Karolem. Właśnie teraz, w tej chwili, była sposobność uratowania szczęścia rodzinnego i reperfekcji pierwszego małżeństwa.

— Słuchaj, Mino!

Ale Mina już była przy drzwiach.

— Nie namawiaj mnie, Agato! Ja mam dosyć Karola. Ty ze mnie nie będziesz miała klientki, to na nic. Prosto stąd idę do mamy, a potem do adwokata.

Mimo to Agata postanowiła ją ratować, nawet wbrew jej własnej woli.

III.

Dzień był rzeczywiście upalny! Asfalt ugiął się pod nogami, jasne suknie świeciły wokoło mnogością barwnych plam, a cień młodych liści pod kasztanami wydawał się pożądaną ochłodą. Idąc wiaduktem w stronę przystani, Agata rozmyślała ciągle jeszcze nad sprawą Miny. Obawiała się, czy aby postąpiłoby lojalnie, wtajemniczając we wszystko pana Karola. Ale ponieważ miał się i tak dowiedzieć za parę godzin o grożącym domowi niebezpieczeństwie, wołała sama przedstawić mu tę sprawę we właściwym świetle i prosić, aby pozwolił jej działać.

Schodziła już ślimakiem ku rzece. Zdaleka zobaczyła dachy przystani, świeżo położone i wysypane piaskiem pontony, a na wodzie masę łodzi. Drobne fale płonęły białym ogniem, aż oczy mrużyły się od blasku.

Okazało się, że Lempke już wrócił. Kazała go poprosić, a sama siadła przy jednym ze stolików i ciekawie przyglądała się sąsiadom.

Dużo ślicznych wystrojonych pań jadło lody w towarzystwie panów, ubranych po wioślarsku. Na pontonach bawiło się kilkoro dzieci. Dwie młodzianki kobietki, odważnie próbując wiosennej kąpieli, ukazywały smukłe ciała w kostjumach plażowych. Ich białe ramiona, jeszcze zupełnie nietknięte słońcem, robiły wrażenie wielkiej nagości. Wszystko było jasne, młode, lekkie. Agata spojrzała na swój granatowy tailleur i poczuła się nieswojo. Ale po chwili wzruszyła ramionami:

— Jestem ubrana przyzwoicie! — pomyślała oschle. — Nie sztuka być modną lalką, ale kobietą poważnej pracy.

Pan Karol szedł już ku niej. Nie spodziewał się, oczywiście, że to Agata go prosiła. Kiedy ją poznał, zmieszał się bardzo. Wstyd mu było pokazać się, tak — w trykocie kąpielowym, do pół białym, do pół czarnym. Na czole lśniły mu drobne krople potu, a twarz

pokrywała już złocista opalenizna. Nie wiedział, czy ma być oficjalny, czy swobodny.

— Służę pani! — powiedział, ściskając jej rękę. — Nie miałem pojęcia, kto mnie wzywa i dlatego tak długo dałem na siebie czekać.

Agata w milczeniu zbierała myśli. Właściwie nie wiedziała, jak zacząć, i od czego. Nie ułożyła sobie przemowy. Pan Karol nie ułatwiał jej zadania, bo usiadł przy stoliku i starał się jaknajbardziej zasłonić swoje nogi.

— Czy Mina nie jeździła z panem łódką? — zaczęła wreszcie Agata.

— Nie! — odpowiedział niechętnie. — Umówiłem się z nią na dziś, ale nie przychodziła tak długo, że pojechałem sam. Mówili mi potem, że była na przystani w godzinę po mnie.

— Mina jest bardzo rozżalona, że ominęła ją ta przyjemność... — podsuwała dalej ostrożnie.

Pan Karol ożywił się:

— No, więc co? Miałem czekać na nią półtorej godziny? I tak straciłem kawał czasu przez jej niepunktualność. Rozumiem, że kobieta może się spóźnić kwadrans, — no, przypuśćmy, nawet pół godziny, ale nie półtorej! Ładnie by świat wyglądał przy takim załatwianiu interesów!

— Pan ma zupełną słuszość, ale Mina patrzy na to z innej strony. Ona cieszyła się, że po raz pierwszy zobaczy pana, kierującego łodzią. Dzień taki cudny, cóż pan chce — to rozmarza! Myślała może o waszym spotkaniu, jako o rzeczy pięknej i radosnej, stroiła się jaknajstaranniej, aby pana oczarować... Czuła się może bardziej narzeczoną, niż żoną. Pan rozumie, prawda? Szła na spotkanie. Schodząc ku przystani, szukała pana łódki na wodzie. Wiedziała, że jest późno, śpieszyła się — i serce jej biło. I, kiedy szła z tem bijącym sercem, kiedy już oczami duszy widziała pana — pięknego, kochanego — pan już odpłynął...

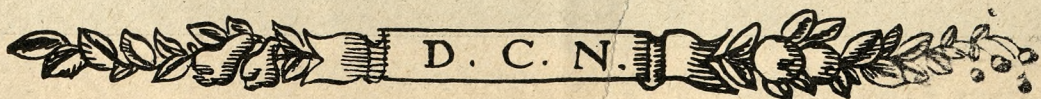
Agatę uniosło wrażenie.

Pan Karol patrzył na nią z pod oka, podziw walczyl w nim o lepsze z nieufnością. Patrzcie ją — stara panna — a jak miękko potrafi mówić o najskrytszych, najmielszych uczuciach! I jak broni Miny! Prawda, adwokatka. Wszystko to retoryka, zastosowana odpowiednio do okoliczności. Jednak może mieć rację, nawet dużo racji.

— Więc, panie Karolu — powiedziała po chwili milczenia. — Chodzi o to, że Mina jest bardzo rozżalona, bardzo. Nigdy nie groziła panu rozwodem? Nie? A teraz mówiła o nim.

Lempke jednym skokiem zerwał się od stolika.

— Mina? O rozwodzie? A to skandal! Nigdy nie dopuszczę do czegoś podobnego! — oburzył się.



M. DOBROWOLSKA.

WECK-END NAD BUGIEM

Zaproszenie brzmiało nęcąco. Autokar, filmowanie, wycieczka o charakterze turystyczno-społecznym, weck-end na wsi w Gródku, nad Bugiem. Więc w godzinę odjazdu zatętniło życie dokoła autokaru na spokojnym placu Zygmunta, w cieniu szacownych starych domów, przy siedzibie Koła Polek. Aparat filmowy „kręcił” na taśmie moment odjazdu, a słońce, rzadki gość tego lata, uśmiechało się z przyjazną po-
blażliwością.

Warknął motor, zadudnił po bruku, podrzucając po „kociach łbach” Grochowa i wyboiskach pod-
stołecznej szosy. Wewnątrz auta wzmaga się gwar rozmów kilkunastu wybranych osób, którym po prze-
łamaniu pierwszych lodów rozwiązują się języki.

Zaczynamy się orjentować w zespole. Departament zdrowia, prasa, architektura, krajoznawstwo, o-
grodnictwo, filmy i goście. Skręcamy w boczną szosę, która się wiję falistą linią w ładnym krajobrazie, ozło-
conym tu i owdzie łubinem, rozjaśnionym kępami
brzozowego gaju. Wsie szare i nieporządne. Nawet
kwiaty przy chatkach rosną bezładnie, chaotycznie, jak
na śmietniku, dziwiąc się wespół z gospodarzami, pę-
dzącej „maszynie”, co zakłóca spokój ich wsi, a do sza-
leństwa doprowadza konie. Prowincja, prowincja...

To też w zdumienie wprawia ład, czystość i kul-
tura Węgrowa. Przedstawiciel miejscowej inteligencji
samorządnie ofiaruje się nam na cicerona, z zami-
łowaniem pokazując śliczną kamienicę w rynku
z XVII wieku i kościół barokowy z 1685 r., ufundo-

wany przez Krasińskich. Zachował wewnątrz zbladłe
freski, na szczęście nie zamalowane, obrazy, trochę
rzeźb barokowych, żyrandole. Zakrystja, wyłożona
wysoko dębową boazerją, szczyty się szeregiem do-
brych portretów różnych dawnych dostojników. Nad
drzwiami lustro z polerowanej stali, należące kiedyś
do samego Imc Pana Twardowskiego. Chciałoby się je
obejrzeć bliżej, ale czas nagli, więc odprowadzeni
zwartym tłumem gapiów idziemy do kościoła Refor-
matów z XVII wieku.

Za bramą plac kościelny, okolony murem, ze
śladami stacyj Męki Pańskiej. Tarasowe wejście. Nad
frontonem barokowy krzyż, którego ramiona stano-
wią skrzydła, a postać Ukrzyżowanego, jakby wto-
piona w pióra. Pomysł oryginalny, ale, jak tyle rzeczy
w baroku — niesmaczny.

Za to wewnątrz jasne figurki aniołów i ciemna
Pasja w głównym ołtarzu, rzeźbione w drzewie, noszą
ślady utalentowanej ręki. Nad wejściem do kaplicy
Bonawentury Krasińskiego, fundatora kościoła, na-
grobek z brązu i stiuków, a naprzeciwko wmurowa-
ne jego serce, w brązowej urnie. Przez korytarze po-
klasztorne, gdzie zda się błądzą cienie mnichów, zato-
pionych w księgi, koło cichego wirydarza, tego za-
kątka słonecznych rozmyślań, wyprowadzają nas na
podwórze i mówią z dumą:

— Tu, w murach po-klasztornych, jest szkoła
powszechna i gimnazjum koedukacyjne.

Szarzeje, bezwzględny deszcz śni, nie można



Budynek gospodarski w stylu z początku XIX wieku.



Dwór w Gródku.

„kręcić“, choć tak bardzo pragnęłoby się utrwalić te zabytki i pokazać tłumom. Żegnamy się, wdzięczni za gościnną uprzejmość.

W dalszej drodze widać czystsze wsie podlaskie, ogródki kwietne, bogato zabudowaną i jasno oświetloną cukrownię Elżbietów. Potem dziwo — prywatnym sumptem Łubieńskich ufundowany szpital na Klimowiznie dla dwóch powiatów: Sokołowskiego i Węgrowskiego. Czysty, nowoczesny.

O zmierzchu Sokołów z prostym, spokojnym pomnikiem księdza Brzózki, powieszzonego tu w 1863 roku. Zostaje za nami zdumione zbiegowisko, a wprost równa szosa i prędkie, pewny warkot krajowego motoru. Ale, że wszystko się kończy, a od końca zaczyna się coś nowego, więc po kilkunastu kilometrach szosa ustępuje „polskiej drodze“.

Jest już zupełnie ciemno. Głębokie, grzaskie błoto. Motor pracuje mocno. Kiwamy się na wyboiskach, aż wreszcie stajemy we wsi. Motor się zagrzął. W jednej chwili otacza nas wiejski tłum. Dziwią się, gawędzą, a nadewszystko narzekają na deszcz i na straty spowodowane słąą.

— Oj, bieda, pani, na wsi, bieda — mówią śpiwną, podlaską mową.

W chwilę później załamuje się pod nami mostek. Wsiadać trzeba w gęste błoto, ale podlasiacy chętnie i uprzejmie podpychają maszynę z mostu. To też wsiadamy i jedziemy do dworu. Zdaleka jaśnieje ganek, ustrojony kolorowymi lampionami. Witają nas chóralną pieśnią „kolonistki“, członkinie świetlic Koła Polek: odrazu otacza atmosfera młodości, zdrowia, radości, życia i serdecznej gościnności. Dwór stary, o ciekawych bokówkach i starych kaflowych piecach. Sale jadalne, sypialnie, pokoje kierowniczek. Prosto, czysto. Łóżka wygodne, jednakowo zaślane. Tu i owdzie rzucona osobista ozdobna poduszczałka, a pomiędzy łózkami na krzesłach i stołkach drobiazgi toaletowe, misternie rozłożone.

Idziemy wcześniej spać, bo regulamin „kolonijny“ nakazuje o 10-ej ciszę. Panie śpią w dawnej mleczarni — ciekawym architektonicznie budynku z 1820—30 roku. Noc, deszcz szumi w liściach drzew i rozlega się niesforne chrapanie. O świcie, w dole, wśród konarów starych drzew połyskuje kręta wstęga Bugu. Czempredziej więc w ogród. I tu ogarnia zdumienie na widok piękności Gródka. Olbrzymie proste jesiony, rozłożyste lipy, grube wiązy występują ponad dzikie hąszcze, okalają budynki i z wielko-



Świątynia Sybilli w Gródku.

pańskim rozmachem pomyślany taras, skąd rozległy widok na wstęgę Bugu i Zabuże.

Rozlega się gong, dziewczęta wesole, w gimnastycznych strojach biegają się myć, a potem ćwiczą pod kierunkiem instruktorek. Po śniadaniu, które smakuje niezwykle (co za pieczywo, co za masło, a wszystko ze spółdzielni! Co za mleko!). Na dźwięk sygnaturki idziemy do kościoła. Stara, modrzewiowa dzwonnica, spojona drewnianymi kołkami. Kościół, niegdyś unicki, potem prawosławny, z ołtarzem z czasów zabórczych. Cienko, fałszywie, ale nabożnie śpiewają podlasiacy, słuchając potem „uczonego” chóru kolonistek.

Za kościołem i w sadzie sterczą dostojne kopce i okopy z czasów Jadźwingów, zarosłe trawą. Własność Koła Polek ciągnie się na przestrzeni 4 włók, z rozległym parkiem i licznymi budynkami, które zwracają uwagę architekturą z przed 80—100 lat. Okolona starodrzewiem, melancholijnie duma przeszliczna świątynia Sybilli, o subtelnych fryzach, bardzo zbliżona do Puławskiej.

I ona, jak wszystko tu, wymaga opieki, umiejętnego remontu i poszanowania stylu. Mówi nam o tem z zapalem pani Łubieńska i przedstawia wspinały plan na przyszłość. Gródek musi się stać ośrodkiem społecznym. Powstanie tu całoroczny dom wypoczynkowy dla kobiet z inteligencji pracującej, kolonje letnie dla licznych „światliczanek”, co najmniej na 5 miesięcy, filja szkół zawodowych, gdzie mogłyby się kształcić słabowite dziewczęta, kolonje dla dzieci wiejskich i ośrodek zdrowia do walki z gruźlicą i alkoholizmem.

Projekt zakrojony na wielką skalę, godny urzędywistnienia. Do wykonania go potrzeba nietylko silnej wiary, ale pomocy ze strony odnośnych władz i społeczeństwa, a przede wszystkim pieniędzy, pieniędzy.

Rozważamy ten plan w skupieniu, podczas kiedy odbywa się filmowanie czarownych fragmentów Gródka i przedstawienia kolonistek, na które wybiera się Sokołów, okolica i cała wieś.

Odjeżdżamy, żegnani chóralnym okrzykiem przemitych dziewcząt, z mocnym postanowieniem po-



Scena z przedstawienia amatorskiego.

pierania spraw Gródka wszelkimi sposobami, z myślą, jak dobrze byłoby wypoczywać w cichy wieczór, w takim domu, gdzie czar przyrody, ślady przeszłości i mądra terażniejszość spleją się w jeden harmonijny akord.

J. PUTIATYCZ - SURYNOWA.

„BAJ... BAJU...”

My, kobiety lubimy mówić. — Plotka na wszystkich szczeblach społecznych. — Czynn timerstrukcyjny. — Antidotum. — Mężczyzna, jako plotkarz na wielkiej, światowej arenie. — Intuicja. — Bezstronność. — „Tout comprendre c'est tout pardonner”.

My, kobiety lubimy mówić! Dużo mówić!! Boże Drogi, jakże lubimy mówić!!!

Jest to nasza przywara ogólnokobieca, satyrycznie ujęta w literaturze wszechświatowej, uwieczniona w przysłowia i ośmieszona w anegdotach.

Zaczyna się to od uroczonego, niemowlęcego „gaworzenia”. Przechodzi w dziecięcy „szczebiot” (nakręcony, jak katarynka, od samego rana). Przetwarza się w podlotkowskie „paplanie” pensyjne, w paplanie, którego matką jest „sensacja”, a ojcem „bezmyślność”. Rozwija się stopniowo w plotkarstwo kobiety dorosłej, aby w końcu przejść w starcze „zrzęczenie”, „ter-

kot”, „nieznośne gderanie”, według przysłowia „czem skorupka za młodu nasiąknie — tem na starość trąci”.

Plotkujemy więc, my kobiety, potrosze, na wszystkich szczeblach społecznych i na wszystkich terenach... Stojące przy opłotkach, baby wiejskie „jazgocą” zajadle, „rozpuściwszy ozory”, że aż ha!... Pani majstrowa w sklepiku opowiada kumie długo i szeroko o tajemnicach swojej kamienicy. W inteligencji stołecznej nie plotkuje się, tylko „się blaguje” złośliwie i dowcipnie, dla ożywienia gasnącej, salonowej rozmowy... (Rezultat niezawodnie skuteczny).

W ziemiaństwie też się, oczywiście, nie plotkuje...

W arystokracji — plotkę zastępuje wyszukana, zakonspirowana, salonowa intryga, unikająca głośnego skandalu, jako „mauvais genre”.

Im wyższy szczebel drabiny społecznej, umysłowej i wychowawczej, tem większą odpowiedzialność spada na ludzi, za ich baję... baję... Jakże nierównomiernie obciąży szalę sprawiedliwości wyrafinowane „szkalowanie bliźnich” przez człowieka mądrego i wykształconego, w porównaniu z bezmyślnym „bajdurzeniem” maluczkich...

*

Plotka jest czynnikiem destrukcyjnym. Zatrzuwa życie nam samym i naszemu otoczeniu. Męczy nas i denerwuje, a nawet według słów Preutice’a Mulford’a („Niewyzyskane siły życia”) zakaża krew i wprowadza chorobę w organizm przez myśl obmowną, szkalującą, zgorzkniałą i zawistną.

Jakże przesiąknięte temi miazmatami chorobotwórczymi są małe nasze miasteczka i małe, wojskowe garnizony.

Jakimże rozsądnikiem zakażnym są: praczki, masażystki, manicurzystki i panienki do szycia.

Jakimże rzadkim wyjątkiem w grasującej epidemii jest „antidotum” w postaci kobiety, która nie plotkuje. Jest to najczęściej kobieta, albo „bardzo dobra” i „pocziwie wyrozumiała”, albo też „rozsądnie obojętna” i „rozumnie tolerancyjna”.

Kobieta, która potrafi bronić oskarżonej przez opinię towarzyską, jest rzadkością. Kobieta, która potrafi odróżnić niezbitą prawdę od krzywdzących podejrzeń, jest jeszcze większą rzadkością. Kobieta zaś, która nie powtarza jednej osobie, co druga powiedziała o niej niekorzystnego, jest fenomenem.

Brońmy się przed tą naszą dziedziczną wadą, przeciwdziałając jej maksymą Epikura: „nie krzywdzić, by nie być krzywdzonym”...

Wypędzajmy z duszy naszej czarta, jak go Chrystus wypędził z duszy obłąkanego i, pamiętni na to, że przysłowia są mądrością narodów, starajmy się „trzymać język za zębami” i częściej milczeć, bo „milczenie jest złotem”.

*

Do tej chwili winiłam ciągle tylko kobiety. Mówiąc jednak o plotkarstwie, nie mogę pominąć i mężczyzn. Mężczyzn, którzy również plotkują... tylko inaczej. O ile my, kobiety operujemy małymi kłamstewkami, posadzeniami i oskarżeniami, nie umiając intrygować na szeroką skalę, o tyle mężczyźni są w swoim żywiole na wielkiej arenie życia, kiedy mogą „gubić narody i państwa” (Zapolska). Jak my w życiu towarzyskim i rodzinnym zapominamy o Chrystusowej zasadzie: „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni” — tak mężczyźni nie znają innego sposobu regulowania spraw tego świata, jak za pomocą: więzienia, uśmiercania i znęcania się nad tymi, którzy popełnili jakieś przekroczenia. Zamiast popierać sprawę pokoju i sprawiedliwości — mężczyzna wytwarza ciągły ferment, i niepokój, wojny i rewolucje...

Ile niesprawiedliwości popełnia świat co dnia, co godzinę, nie umiając się zdobyć na sąd „bezstronny”, na sąd „wyrozumiały” o ludziach i narodach.

Rzadkim jest człowiek, obdarzony intuicją, człowiek, który potrafi czytać w otwartej księdze natury ludzkiej. Jednym z tak rzadkich ludzi był Napoleon, który osiągał powodzenie przez tę właśnie intuicyjną znajomość ludzi. Od pierwszego rzutu oka umiał on rozpoznać, do czego kto był zdolny i odpowiedni.

My, zwykli śmiertelnicy, pozbawieni tego daru intuicji, tego daru, idącego „od wewnątrz duszy ludzkiej” (Mulford) nie sądźmy pochopnie i powierzchownie. Nie sądźmy przedewszystkiem subiektywnie.

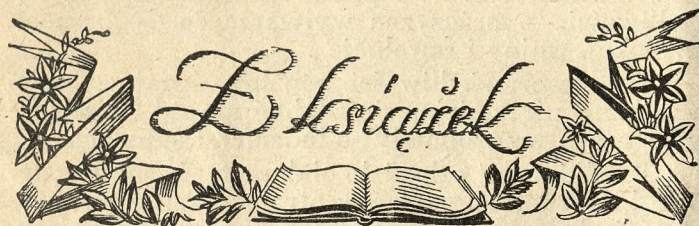


Ploteczki przy filiżance herbaty.

Jakże chętnie sądzą tych, których kochamy, przez „różowe szkiełka” uczucia i „przez palce” pobłażania. Podczas kiedy, przeciwnie, ludzi nielubianych „odsądzamy od wiary”, patrząc na nich przez „czarne okulary” antypatii i znajdując dla nich ten „kij”, który się zawsze znajduje, kiedy się chce psa uderzyć...

Jakże chętnie i szowinistycznie pobłażamy naszym narodowym wadom, „nie widząc belki w swoim własnym oku”... Podczas kiedy „żdźbło w oku” narodów, czy partii przeciwnych dostrzegamy tak chętnie i mówimy o tem i piszemy „baj... baj...” długo i szeroko...

Zdobądźmy się na wyrozumiałość ludzi kulturalnych i dobrych („każdy po sobie sędzi”) i na tolerancję ludzi mądrych („tout comprendre c'est tout pardonner”).



Jadwiga Kiernarska: „Celadon i Astrea” (Jan III i Marysieńka).
Rój — Biblioteka Historyczno-geograficzna.

Pod cytrynową okładką popularnych książeczek „Roju” przywykliśmy znajdować treść kompilacyjną, mocnymi cięciami przykrajaną do poziomu wymagań czytelnika, którego książka szukać musi na ulicy. Tymczasem już po przeczytaniu pierwszej kartki „Celadona i Astrei” czujemy się owiani tą atmosferą literackiego wykwintu i finezji, jaką stworzyć może tylko wysoka kultura, wrodzony smak i poczucie stylu, wreszcie, oparte na solidnych studjach, a pogłębione intuicją, wżycie się w epokę.

Podobno, gdy tę książeczkę odznaczono pierwszą nagrodą na konkursie „Roju”, sędziowie konkursowi podejrzewali, że pod wiele mówiącym godłem „Honny soit, qui mal y pense” ukrywa się mistrz historycznego uśmieschu, Stanisław Wasylewski. Przypuszczenie to miało swoje logiczne podstawy. Sposób podejścia do obyczajowości epoki jest tu bowiem niemal identyczny z ulubioną metodą autora „Na dworze króla Stasia”. Polega on na filuternem demaskowaniu figur historycznych, otoczonych tradycyjnym, choć niejednokrotnie wątpliwym splendorem. Faktów historycznych podaje autorka tylko tyle, ile to jest potrzebne do zorientowania czytelnika w sytuacjach prywatnych. Właściwy miąższ utworu stanowią plotki, ploteczki, intrygi dworskie, skandaliki intymne i skandale dyplomatyczne, zręcznie wyluskane z pamiętników ówczesnych i listów, owych słodkich „konfitur”, zapomocą których porozumiewają się Jan i Marysieńka, romantyczni kochankowie, ukryci pod imionami Celadona i Astrei — czułych pasterzy modnego romansu.

Zręcznie ugrupowane fakty, podkreślone odniechcenia pozycy, gesty, posunięcia, niebaczne słówka, chwyczone w przelocie — rzucają niemilosierne, choć drgające ironicznym uśmieschem światło, na duchowy wizerunek Marysieńki — tej parwenjuszki na tronie, mialkiej intrygantki o wybujałych ambicjach i rozległych aspiracjach, sprytniej francuskiej samiczki, „rodzącej często i obficie” i na atlasowej wstążce zmysłów prowadzącej za nos niedźwiedziowatych sarmatów o sercu lwim w boju, a gołębiem — przy podwie.

Styl „Celadona i Astrei” zlekka archaiczny, przepojony nawskroś nowoczesną finezją w operowaniu słowem, jako obojętnym ostrzem: naracji i ironji, stanowi sam przez się mistrzowską oprawę tego interesującego szkicu. Kto wie, czy rama nie jest więcej warta od konterfektu.

W każdym razie ten rozkoszny bibelot historyczny wielkim głosem woła o luksusowe wydanie ze stylowymi ilustracjami na kredowym papierze. Ordynarna bibuła nie odbiera mu wartości, ale szpeci, jak markizę zgrzebne płótno. S. P. O.

Z TEATRÓW

TEATR ŁÓDZKI W CAPITOLU.

„Kreutzerowska Sonata”, sztuka w 4 aktach Alfreda Savoira, podług Tolstoja. Przekład Bolesława Górczyńskiego.

Wątpię, czy Tolstoj, gdyby żył, zgodziłby się na podobną przeróbkę swojej powieści. Z prawdziwej „Sonaty Kreutzerowskiej”, tego zuchwałego wyzwania, jakie genialny pisarz rzucił instytucji małżeństwa, opartej jedynie na użyciu zmysłowem, nie zostało nic, oprócz melodramatycznego kompleksu zazdrości, jakim nowoczesny Otello doprowadza siebie do szaleństwa, a swoją Desdemonę do istotnej zdrady. Trudno naprawdę dzisiaj bez tłumionej wesołości patrzeć na te kontorsje psychiczne, w jakich wiją się „bohaterowie” i ofiary okrutnego Erosa. Niewątpliwie ani twórca przeróbki scenicznej, ani jej wykonawcy nie mieli zamiaru parodjować utworu, który przy swej całej paroksalności przykuwał głębią myślową i szczerością przeżycia, a jednak była to parodia. Dzięki steatralizowaniu sensacyjnej strony oryginału, całość uległa spłyceciu, uwypukliła się chorobliwość głównego bohatera i winowajcy, którego nawet świetna gra Adwentowicza nie mogła ocalić od najgorszego losu, jaki może spotkać postać sceniczną z wyroku widzów: od śmieszności. Według Tolstoja sąd przysięgłych uniewinnił Pozdniszewa, współczesna publiczność wcale go nie sądzi, — poprostu przechodzi nad nim do porządku dziennego, podobnie jak nad średniowiecznymi procesami czarownic. Mąż, który swoją żonę uważa za własność, który grozi, że ją w razie ucieczki sprowadzi żandarmami, należy już dzisiaj na szczęście do anachronizmów, którymi babcie straszą rozfiglowane wnuczki, niby odmienną wersją kominarza lub dziada z workiem.

— Poczekaj! jak będziesz niegrzeczna, wydam cię za mąż!

Ładna propaganda małżeństwa, niema co mówić! Tylko, na szczęście, dzisiejsze dzieci nie wierzą w dziada z workiem, a dzisiejsze panny nie czekają, aż je ktoś wyda za mąż: same sobie wybierają „tyranów”.

Problemat zazdrości nie przestał być aktualnym i nie przestanie nim być zapewne nigdy, jako nieodłączny atrybut miłości, od tych czasów jednak, kiedy Tolstoj rozpatrywał go pod kątem nieubłaganego tragizmu, zmieniły się zasadniczo pewne formy społeczne stosunku mężczyzny do kobiety. Kobieta wyszła z „Domu lalki”, daj Boże, aby bezpowrotnie. Zresztą dziś wybór od niej tylko zależy. Czasy niewolnictwa, jakie pokazano nam na scenie teatru łódzkiego, minęły bezpowrotnie.

Sztuka była obsadzona nierówno. Razila dysproporcja talentu i scenicznego opanowania między „tuzem” Adwentowiczem, a resztą aktorów, z których pani Grzywińska w roli Laury tylko w ostatnim akcie wzniosła się ponad przeciętność. P. Bystrzyński w roli muzyka stworzył postać tchórzliwego pajaca, któremu trudno byłoby oczarować nawet najnaiwniejszą kobietę.

S. P. O.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

ZWIĄZEK PRACY OBYWATELSKIEJ NA TERENIE LIGI NARODÓW.

Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet prowadzi stałą współpracę z kobiecimi instytucjami na terenie międzynarodowym. W bieżącym miesiącu odbędą się w Genewie dwie ważne konferencje. Z inicjatywy Biura Międzynarodowego Pokoju utworzony został Komitet Koordynacji pacyfistycznych, w skład którego wchodzi piętnaście wielkich zrzeszeń międzynarodowych. Dla uczczenia dziesięciolecia Ligi Narodów Komitet urządzi konferencję w Genewie, jako delegatki Zw. Pracy Obyw. Kobiet udadzą się tam panie Łucja Kipowa i Anna Szelałowska.

Druga konferencja, organizowana przez Międzynarodowy Związek równouprawnienia, poświęcona będzie specjalnie sprawie ochrony kobiet; na tę konferencję wydelegował Związek polską Eugenię Waśniewską i p. Annę Szelałowską.

POLSKA PRAWNICZKA O SĄDOWNICTWIE DLA NIELETNICH.

Znana adwokatka warszawska, p. Helena Wiewiórska, była jedyną kobietą, która zabrała głos na międzynarodowym kongresie prawa karnego w Pradze. Tematem przemówienia było sądownictwo dla nieletnich.

WYSTAWA DLA KOBIET.

W dwa lata po czysto kobiecej „Saffie” berneńskiej otwarta została w tych dniach w Bazylei „Woba”, (Wohnung Ausstellung) bardzo interesująca dla kobiet wystawa mieszka-



Biblioteczka, kredensik i palarnia w jednym stole.



Stolik-szafka dla chorych i rekonwalescentów.

niowa. Wszystko, co nowego w tym zakresie produkuje w Szwajcarii przemysł, architektura i sztuka stosowana, zostało tu z wielkim artystycznym smakiem, pomysłowością i doskonałą organizacją wystawione i oddane pod opinię kobiet, bo one głównie decydują w sprawach wyboru i urządzenia mieszkania dla rodziny. Zasadniczo wystawa rozpada się na dwa działy: pokazy budownictwa i urządzenia wnętrz.

W budownictwie pokazano wszystkie nowe eksperymenty architektoniczne. Kolonja mieszkaniowa jest to szeroka i słoneczna aleja z domami o płaskich dachach, szerokich oknach, o gładkich ścianach, których ozdobą, jak zwykle w nowej architekturze, jest ciekawa kombinacja płaszczyzn. Wnętrza tych budynków zawierają wszystkie typy mieszkań, a więc nie tylko dla rodzin i osób samotnych, ale i wzory mieszkań hotelowych, pensjonatowych, specjalnie ważne dla Szwajcarii i dla szwajcarek, z których wiele pracuje w zawodzie hotelarskim.

W budowie i umieszczeniu każdego domu w przestrzeni uwzględnione są nowoczesne wymagania higieny, dostępu słońca i powietrza. W dziale urządzeń wnętrza wystawiono również wszystkie typy mebli, naczyń i urządzeń gospodarskich.

Mebel w typach seryjnych: dla zajmujących jeden, dwa, lub trzy pokoje samotnych, dla rodzin w małym i dla rodzin w większym mieszkaniu, nawet urządzenie z przewidywaniem powiększenia się rodziny, również organizacja pensjonatów i pokoi umeblowanych. Meble w nowym stylu, proste, gładkie, bez rzeźb, dostosowane przede wszystkim do użyteczności danego sprzętu. Rozplanowanie zaś umeblowania poddane jest tym samym regułom. Nie oznacza to jednak zupełnego braku zdobnictwa, przeciwnie. Walory piękna każdego przedmiotu mieszczą się w jego rysunku, rodzaju drzewa i podobnie, jak w budownictwie, w zestawieniu powierzchni. Poza to jest specjalny dział wyrobów artystycznych z drzewa, rodzimego przemysłu szwajcarskiego, bogaty również dział szwajcarskich haftów i koronek, wspaniała ceramika, tkaniny, wszystko to służy do ozdoby mieszkania, umeblowanego sprzętami o prostym, harmonijnym kształcie. Specjalny dział stanowią najnowsze ulepszenia gospodarskie, standaryzowane naczynia wszystkich typów, kucharki-automaty gazowe i elektryczne, odkurzacze, wanny, grzejniki. Wiele miejsca poświęcono też oświetleniu, pokazując wszelkie typy lamp, np., zupełnie inaczej skonstruowane lampy, oświetlające maszyny do szycia, inne dla maszyn do pisania, inne znów lampy kuchenne i t. p. Wogóle kuchnię zajmuje się „Woba” dużo więcej, niż całą resztą mieszkania.

Nie zapomniano naturalnie o różnych nowych wynalazkach, mających na względzie, bądź najracjonalniejsze wyzyskanie miejsca, jak kombinacje stołu-szafki, kanapki-biblioteczki,

bądź ułatwiających pracę pani, obywatelki się bez służby, jak stolik-szafeczek, zawierający odrazu: maszynkę elektryczną, cały przybór do herbaty i t. p. Pomysłowość i organizacja, oto hałaśla tej ciekawej ze wszechmiar wystawy.

NIE KRÓL, ALE KRÓLOWA.

Anglja przeżyła niedawno silne wzruszenia... dynastyczne. Oczekiwano przyścia na świat następcy tronu. Najstarszy syn królewskiej pary angielskiej, ks. Walji, nie zdecydował się dotychczas na małżeństwo i, o zgrozo, istnieją poważne obawy, że wogóle zakroił na starokawalerstwo.

Wobec tego królem Anglii zostałby w przyszłości młodszy brat jego, książę Yorku. Księstwo Yorku mają uroczą córeczkę, która jest jedną z najpopularniejszych osób dynastji. Wszyscy obywatele interesują się tem, jakie sukienki nosić będzie mała księżniczka, (w tym roku były różowe) jak rośnie i jak się rozwija: czy powtórzy kiedyś tradycję wielkiej praprababki Wiktorji na tronie imperjum. Pogodzonoby się naturalnie łatwo z perspektywą królowej, zamiast króla, skoro prawo i historia dają wzory potomu.

A jednak... jednak (znów o zgrozo dla równouprawnienia!) anglicy oddają się chwilami słodkim marzeniom, że może los odmienić się i zesłać ich krajowi władcę płci męskiej. Świeżo właśnie nadzieja taka błysnęła i... zgasła niestety! Księstwo Yorku oczekiwali przyścia na świat drugiego dziecka i pomimo entuzjazmu dla uroczej Betsy, wszyscy mieli nadzieję, że urodzi się właśnie braciszek, który ją zdetronizuje! Cały kraj miał tremę, para królewska, odbywająca podróż morską, połączona była stałą komunikacją radiową z zamkiem Glamis, w którym oczekiwano narodzin. Wszędzie czyniono przygotowania do radosnych uroczystości na cześć następcy. Podług dawnego obyczaju, datującego od czasu Jakóba II Sztuarta, którego żonę posadzono o... przyjęcie obcego niemowlęcia, za swoje, dla zapewnienia następstwa tronu, prawo zwyczajowe wymaga, aby przy urodzeniu ewentualnego następcy tronu obecny był minister spraw wewnętrznych. Przyjechał więc do zamku Glamis Mr. Clynes, obecny minister spraw wewnętrznych. Wszystko to nie pomogło, zamiast oczekiwanego księcia, księżna Yorku urodziła córeczkę. Anglicy mają jednak nie tylko przysłowiową flegmę ale i dużą dozę pogody życiowej, przyjęli więc ten pewnego rodzaju zawód po dżentelmeńsku. Oddano na cześć nowej księżniczki wszystkie oczekiwane strzały armatnie, zapalono stosy, oznajmiające radosny fakt, wyprawiono huczne festyny i siostrzyzka małej Betsy, księżniczka Margaret (takie ma być jej imię), stanie się wkrótce drugim dzieckiem Anglii, sympatją znacznych obywateli. Rodzice zaś, którzy uważają dzieci, nie jako następców, lecz jako swoje umiłowane bąki, zachwyceni są nowoprzybyłą pociechą. No i dla kobiet nie będzie to źle, zawsze co królowa, to nie król, od czegoż kobiecego solidarność?

MADRE I UCZCIWE

Turecki minister spraw wewnętrznych rozesłał do wszystkich gubernatorów prowincji okólnik, polecający jaknajszerszą propagandę, aby do instytucji samorządowych wybierano jaknajwięcej kobiet. Zdaniem ministra, są one najlepszymi administratorkami funduszy publicznych i sprawom społecznym oddają się bezinteresownie i z całym poświęceniem.

O KOBIECIE LEKARZU.

Znana we Francji lekarka polska, dr. Melanja Lipińska, b. ordynatorka szpitali paryskich, laureatka paryskiej akademji medycznej wydała świeżo cenną pracę p. t.: „Kobieta i postępy wiedzy lekarskiej”. Książkę poprzedza przedmowa p. Alberta Thomas, dyrektora Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie. Na tle historii rozwoju medycyny rysują się plastycznie postaci pierwszych lekarek, pielęgniarek, sławnych zasługami na po-

lach bitew sanitariuszek, jak Florencja Nightingale, aż do młodszych, sławnych adeptek sztuki lekarskiej. Autorka uwzględniła wszystkie kraje, nawet daleki Wschód, naturalnie wiele miejsca poświęciła lekarkom polskim.

Książka, ozdobiona licznymi i pięknymi ilustracjami, znalazła duży odgłos w prasie zagranicznej.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Najważniejszym zdarzeniem w naszej polityce było w ubiegłym tygodniu orędzie Pana Prezydenta o rozwiązaniu Sejmu.

„Po dojrzałym namyśle stwierdzam, że najważniejszą rzeczą do pracy wszystkich obywateli Rzeczypospolitej Polskiej jest naprawa zasadniczych praw, rządzących Rzeczpospolitą, gdyż stanowią one podstawę dla wszystkich praw, istniejących w Państwie.

Naprawa jest konieczną, gdyż niestety dotąd uniknąć nie można chaosu prawnego, istniejącego w Rzeczypospolitej. Gdy przekonałem się, że naprawy tej mimo moich usiłowań dokonać nie potrafię za pomocą istniejącego obecnie Sejmu Rzeczypospolitej, zdecydowałem się rozwiązać istniejący Sejm i Senat“.

Nowe wybory odbędą się w d. 16 listopada r. b.

Prowokacyjne przemówienie Treviranusa wywołało w całej Polsce zrozumiałe odruch oburzenia i protestu. W celu zorganizowania go w Warszawie, zawiązał się specjalny komitet, który wydał odezwę do mieszkańców stolicy. Pod odezwą podpisało się przeszło sto związków, w ich liczbie następujące kołbiece: Korporacja żeńska, akademicka „Priora“, Liga Kobiet, Rodzina Policyjna, Rodzina Wojskowa, Związek kobiet pracujących w handlu, przemyśle i biurowości, Związek Legionistek i Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet.

W ubiegłą niedzielę odbył się na Placu Teatralnym olbrzymi wiec protestacyjny, na którym uchwalono rezolucję, opiewającą, że cały naród piętnuje zakusy, zmierzające do uszczuplenia granic Rzeczypospolitej, ślubuje nie cofnąć się przed żadnym środkiem, koniecznym dla obrony granic Polski i domaga się, od rządu przeciwstawienia się z całą stanowczością wszelkim roszczeniom niemieckim do ziem rdzennie polskich.

Podobne, na wielką skalę, manifestacje odbyły się we wszystkich miastach Polski.

W gmachu Ministerstwa Rolnictwa obradowała przez kilka dni międzynarodowa konferencja rolnicza, w której wzięli udział delegaci Bułgarii, Czechosłowacji, Estonji, Finlandji, Jugosławji, Łotwy, Rumunji, Węgier i Polski. Konieczność współpracy gospodarczej narodów zaznacza się wybitnie w obecnych czasach, przyczem bardzo ważne miejsce w tej współpracy zajmują sprawy rolne. Wszystkie kraje europejskie przechodzą dziś w mniejszym lub większym stopniu kryzys gospodarczy i koniecznością staje się wspólne obmyślenie środków zaradczych. Sprawy importu i eksportu, cel i taryf handlowych i inne problemy ekonomiczne, muszą być rozstrzygnięte na zasadzie łącznej, fachowej pracy państw.

Na czoło uchwał konferencji wysunęła się rezolucja w sprawie eksportu państw rolniczych. Kraje, których gospodarka oparta jest przeważnie na produktach rolnych, muszą tak zorganizować wywóz tychże, aby zrównoważyć przywóz produktów przemysłowych. Dalsze rezolucje dotyczyły kredytów dla rolnictwa. Wszyscy delegaci przedłożyli swym rządów wniosek zwoływania stałych konferencji ekonomicznych, utworzenia komitetu studjów ekonomicznych i technicznej komisji finansowej. Nadto rządy państw, reprezentowanych na konferencji, pozostaną w stałym kontakcie z Ligą Narodów, występując jednolicie na jej terenie w sprawach ekonomicznych.

Nowa ta liga gospodarcza państw wschodniej Europy, za przyjaźnionych z Polską, mieć będzie niewątpliwie poważne znaczenie dla rozwoju gospodarczego i usunięcia międzynarodowych trudności ekonomicznych.

CZŁOWIEK KULTURALNY

Zdawałoby się, że ludzie, żyjący współcześnie w tym samym kraju, a więc ulegający tym samym wpływom ideowym, tym samym warunkom zewnętrznym, przystem posługujący się dla wyrażenia swych myśli i uczuć wspólnym językiem — powinni by rozumieć się wzajemnie bez żadnej trudności. Jakże często jednak fakty przeczą temu, zasadniczo tak logicznemu, przypuszczeniu!

Ludzie, stojący na tym samym stopniu wykształcenia i inteligencji, zajmujący pokrewne w hierarchii społecznej stanowisko, tracą nieraz czas na jałowej dyskusji i nie są w stanie porozumieć się ze sobą z tej prostej przyczyny, że temi samymi wyrazami określają niezupełnie identyczne pojęcia.

Nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyby chodziło tu jedynie o określenie, dotyczące strony uczuciowej naszej istoty.

Pojęcia miłości, przyjaźni, honoru, uczciwości handlowej i t. p. zależne są od temperamentu, stopnia wrażliwości na pewne wzruszenia, lub modyfikowane bywają, albo wręcz wypaczane przez względy osobistej korzyści, czy szkody, jaka z nich dla danego osobnika wypływa. Nic więc dziwnego, że subiektywne ich pojmowanie różne być musi u różnych ludzi, lub zmienia się stosownie do towarzyszących okoliczności.

Brak zrozumienia rozciąga się jednak i na wyrażenia, określające rzeczy, które traktować można po akademicku, spokojnie, bez namietności i które przez ten swój obojętny obiektywizm nie powinny nastroczać żadnych wątpliwości, a więc dla wszystkich musiałyby mieć tę samą treść i wartość.

Jednym z takich wyrazów obojętnych, a jednak różnie przez różnych ludzi rozumianych, jest słowo *kultura* i określenie *człowiek kulturalny*.

Jedni utożsamiają kulturę z cywilizacją, drudzy z wykształceniem, inni rozumieją pod nią inteligencję, inni jeszcze — dobre wychowanie, a są i tacy, co uważają, że jest to cecha, którą człowiek, jako właściwość wrodzoną, ze sobą na świat przynosi. Sama etymologia tego wyrazu, mającego swój odpowiednik w polskim słowie *hodowla* czy *uprawa*, wskazuje, że jest to coś, co na danym podłożu, przy odpowiedniej umiejętności i staraniu, może być wyhodowane, wypielęgnowane, ale samorodnie nie powstaje i bez opieki rozkwitnąć nie zdoła.

Mówimy więc o ziemi, że jest w kulturze, rozumiejąc przez to, iż została starannie uprawiona i odpowiednio zasilona dla przyjęcia posiewu, jaki jej rolnik przeznacza. Mówimy o kulturach drobnoustrojów chorobotwórczych, hodowanych sztucznie dla umożliwienia badań naukowych w oznaczonym kierunku.

To samo celowe pielęgnowanie pewnych zarodków, właściwych naturze ludzkiej, narzucenie pewnych przyzwyczajęń, a wypalenie innych, według zgóry powyższego i nakreślonego planu — stawiamy sobie za cel, gdy chodzi nam o wyhodowanie człowieka kulturalnego.

I tu grunt do naszej hodowli niezawsze będzie równie podatny: zarodki, które pielęgnować mamy, mogą się okazać słabsze lub silniejsze, więc i rezultat osiągnięty w pewnych wypadkach różnić się musi, zależnie zarówno od materiału, jakim rozporządzamy, jak też i od umiejętnego traktowania go przez hodowcę, a więc od starań, bez których żadna kultura obejść się nie może.

Hodowanie kulturalnego człowieka rozpoczyna się już od dzieciństwa. Przyzwyczajanie do porządku i czystości, do estetycznego zachowania się przy jedzeniu, czy zabawie, wszczepianie poczucia piękna zapomocą ładnych w rysunku i barwie zabawek i obrazków — stanowią pierwszy etap na tej drodze.

W miarę rozwoju dziecka rozszerzamy ten zakres coraz bardziej. Stopniowo nietylko piękno otaczających je przedmiotów, nietylko cuda przyrody, ale piękno szlachetnych myśli i czynów staje mu się dostępne, budzi w niem uwielbienie i chęć naśladowania.

Idąc raz wytyczoną drogą w tym kierunku, człowiek coraz bardziej się rozciekawia, pragnie poznać piękno w coraz szerszym zakresie i coraz więcej go sobie przyswoić. Pragnie poznać piękne krajobrazy, opisywane w książkach, zapoznaje się z dziełami sztuki, chce usłyszeć artystycznie oddane utwory wielkich dramaturgów i twórców dzieł muzycznych. Ideałem jego jest czerpać ze skarbnicy piękna wszystko, co mu dostępne, bo to piękno ukochał, bo stało mu się ono konieczną potrzebą, warunkiem szczęścia i naturalnym tłem jego życia. Człowiek, który posiadał taką kulturę wewnętrzną, taką cześć dla piękna w swej duszy rozbudził — brzydzi się wszystkim, co brudne, niskie i pospolite, co jest tego piękna zaprzeczeniem.

Zaczynając od tego, co mu najbliższe, z czem styka się bezpośrednio — a więc od dbałości o czystość i zewnętrzny wygląd własnej osoby, od estetycznego urządzenia swego mieszkania, nakrycia stołu i podania strawy — rozciąga to dalej na swoją wewnętrzną istotę i wszelkie przejawy życia codziennego. Poczucie piękna nietylko nie pozwoli mu zaśmiecać i zanieczyszczać miejsca, w którym przebywa, ale chroni go także od używania ordynarnych wyrażęń, opowiadania trywjalnych dowcipów i anegdotek, powtarzania plotek, uwłaczających czci osób trzecich, od popełniania wszystkiego, co nieuczciwe, co nie jest w zgodzie z rycerskością i honorem.

Piękno jest wewnętrznym kategorięcznym imperatywem prawdziwie kulturalnego człowieka, zarówno w drobiazgach, jak i w rzeczach wielkiej wagi. Takt, umiar, harmonja we wszystkim, co robi, cechuje jego poczynania i chroni go od przesady w każdym kierunku.

Poczucie piękna, raz rozbudzone, można kształcić, urabiać i rozwijać coraz szerzej przez zapoznanie się z coraz nowymi jego dziedzinami, przez szkolenie smaku na dziełach prawdziwego talentu i przez porównywanie ich pomiędzy sobą.

Wojna ostatnia poczyniła wielkie spustoszenia w dorobku kulturalnym narodów, biorących w niej udział. Ci z nas, którzy dotąd w żywej pamięci mają czasy, poprzedzające ten huragan dziejowy, ze smutkiem widzą upadek kultury na każdym kroku.

Ordynarne prostactwo święci swój triumf w karczemnych wyrażeniach i zwrotach. Przy lada scysji, poczętej z najbliższego powodu, słyszy się ohydne wymysły stron poważnionych. Choroba ta panuje nagminnie. Nie jest wolny od niej nawet przybytek sztuki, za jaki przecież teatr uchodzićby powinien.

Na szczęście jest jednak niezatarta dotąd różnica pomiędzy różnymi typami ludzi, pomiędzy złem i dobrem, pięknem i brzydotą, a zdrowy instynkt społeczny różnicę tę zawsze wyczuwa. Pionierkami na tem polu były zdawiaendawna kobiety. One wnosiły w życie potrzebę piękna, one swój dom zdobiły słodyczą i łagodnością własną, łagodziły obyczaje swego otoczenia; one zwalczały brutalność, poskramiały dzikie na-

miętności i nałogi mężczyzn; one kierowały ich siły ku zdobywaniu coraz nowych ułatwień i wygod życiowych i w ten sposób zmuszały wspinać się na coraz wyższe szczeble kultury. W cywilizowanych społeczeństwach kobieta nie tylko jest bodźcem do pracy dla mężczyzny, ale, jako wychowawczyni nowego pokolenia, szczepi w jego duszy pierwiastki szlachetne. Jej piękność jest źródłem natchnienia poety i artysty i ona też jest najgorliwszą czytelniczką utworów literackich i pośrednim lub bezpośrednim krytykiem tych tworów ducha ludzkiego.

Kobieta kieruje życiem towarzyskiem danej epoki i tą drogą także wywiera decydujący wpływ na kulturę swoich współczesnych.

Od kobiety zależy w największej mierze, aby wstydem było nie znać świeżo wydanej wartościowej książki, lub nie zwiedzić wystawy obrazów. Ona ma możność, robiąc propagandę rzeczy naprawdę wartych poznania, zwalczać tandetę, której tyle, niestety, namnożyło się w ostatnich latach, zarówno w literaturze, jak w malarstwie i sztuce teatralnej. Ona, gromadząc w swoim salonie ludzi odpowiednio dobranych, ma możność nadania temu zebraniu takiego charakteru, że nikt z obecnych nie ośmieli się przekroczyć zasad dobrego wychowania i wytwornych form obyczajowych. Wnosząc pierwiastki piękna i szlachetności we wszystkie dziedziny życia, kobieta zdoła stopniowo naprawić zło, wyrządzone nam przez wojnę i popchnię na właściwe tory kulturę, cofniętą w swym pochodzie.

Wytrwała praca w tym kierunku znajdzie niewątpliwie wyraz swój w przejawach życia codziennego, którego demokratyzacja powinna polegać na podniesieniu niższych warstw społecznych do wyższego poziomu, a nie na dążeniu do zrównania się z nimi, na schlebieniu ich gustom i na zaniku tego, co piękne.

L. Gerlachowa.

NOWOCZESNY WAZON NA KWIATY I JEGO WALORY DEKORACYJNE

Lato i jesień to pora najmilszych kwiatów, kwiatów ciętych, które tyle świeżości wnoszą do naszych mieszkań. Zastanówmy się więc nad oprawą, jaką im przygotujemy — nad pięknymi wazonami na kwiaty.

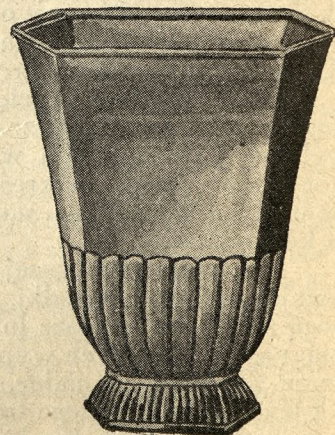
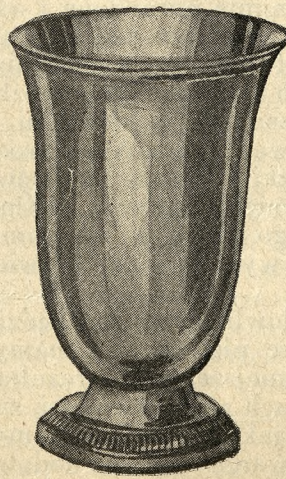
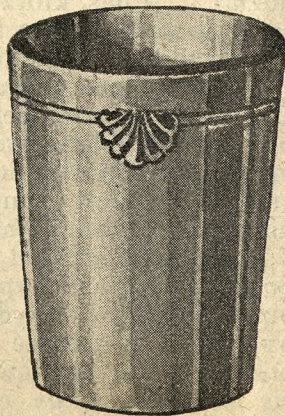
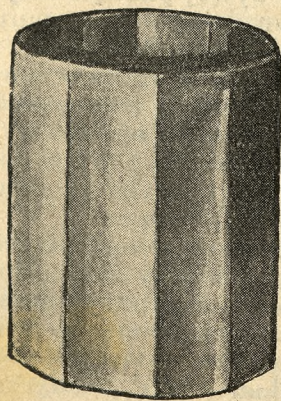


1. Puchar kryształowy. Model B-ci Wolfers z Brukseli.
2. Kielich z kryształu barwionego na kolor miodowy o bardzo szlachetnej linii.
3. Wazon Moserowski z ciemno fioletowego kryształu — obręcz z brązu.

W pojęciu naszym piękno nie jest równoznaczne ze zbytkiem. Najprostsze szklanki, lub polewane garnki gliniane bywają piękne w przeciwieństwie do niektórych wazonów, pretensjonalnych, a niesmacznych. Piękno — to harmonja. Harmonja wazonu z kwiatem i otoczeniem.

Nowoczesne harmonje są proste. Wiemy, do jakich celowych uproszczeń doszły wnętrza mieszkaniowe. Kontur bryły architektonicznej i kolor mają wszystko do powiedzenia — ornament prawie nic, a w każdym razie bardzo niewiele. To samo odnosimy do wazonów kwiatowych, które tak wybitną rolę odgrywają w dekoracji wnętrza nowoczesnych.

Wnętrza te, nieprzeładowane, słoneczne a jasne, mogłyby łatwo sprawiać wrażenie pewnej pustki i chłodu, gdyby nie barwne kotary, obicia, poduszki i kwiaty. Szczególnie kwiaty, które łatwo można zmieniać i stwarzać, dzięki nim, coraz nowe punkty barwne, skupiające światło. Kwiat, wazon z kwiatami dzisiaj skoncentrował na sobie nie tylko światło, nie tylko



4-5. Puhary metalowe firmy Oréum.



Donica huculska (ceramika ludowa).

naszą wrażliwość estetyczną, lecz zwrócił uwagę architektów, którzy w swych kompozycjach wnętrz traktują go, jako szczegół ważny i zasadniczy, niekiedy nawet jako centralny punkt harmonii barwnej. Podkreślamy: harmonii barwnej — jakakolwiek będzie, stonowana, czy kontrastowa. Przy nowoczesnych możliwościach barwienia, przy bogatej skali najpiękniejszych tonów, równoważących prostotę bryły, wazon może się stać oryginalnym dziełem sztuki, które zasługuje na poczesne miejsce w dekoracji.

Nie idąc tak daleko — bo wszakże dla wazonu kwiatów nie zmienimy już istniejącego wnętrza — pomyślimy jednak, jaki wazon i gdzie umieścić w owym wnętrzu, by całość na tem zyskała, a nie straciła.

Dla wnętrz stonowanych, poważnych, o meblach ciężkich — przypuśćmy garnitury klubowe, kryte skórą lub innem grubym obiciem — nadają się wazon y o łagodnych kształtach niezbyt wysokie, a masywne.

Takie np. kryształ y Moserowskie (rys. 1 i 2), które monumentalną linią pięknie harmonizują z ciężkimi fotelami, a przez soczystą barwę ożywiają całość; grube kryształ y białe (rys. 3); barwione szklane czary; puławy metalowe (Oréum — rys. 4 i 5) które mają tę zaletę, że mogą służyć również jako popielniczki, czy też podstawy do lamp z modnymi abażurami — wszystkie one dodatnio podniosą całość.

Te same wazon y razibyby jednak wśród lekkich, prostych konturów wnętrza, utrzymanego w charakterze, zbliżonym do starowiedeńskiego stylu Biedermeier, tak modnego obecnie. Tu wysmukłe kielichy szklane zrobią najodpowiedniejszy efekt. Pięknie także wypadną drobne kwiatki, ułożone gęsto w niskiej żardinierce, np. pośrodku stołu jadalni, czy też innego pokoju, o krzesłach czy fotelach z wzorzystym obiciem.

Wazon y marmurowe, np. piękne alabastry z Żu-

rawna, o klasycznie spokojnych kształtach wyglądają korzystnie przy meblach stylowych, antykach o głębokiej i szlachetnej tonacji drzewa — zato byłyby nieodpowiednie w zestawieniu z meblami gdańskimi, albo ze stylem ludowym (zakopiański, huculski), z jaskrawym kilimem, czy portjerą łowicką i bielonymi ścianami.

Ludowemu wnętrzu odpowiada polewany garnek gliniany (rys. 6 i 7), czy inny wyrób ludowej ceramiki, prosty wazonik majolikowy, albo też metalowa czarka z typu miedzianych i mosiężnych naczyń z trawioną ornamentacją, opartą na motywach krakowskich (rys. 8). Naczynia te, wyrabiane w Krakowie przez p. Terleckiego (dawniej przez Baranowskiego) mają zresztą nadzwyczajną łatwość dostosowania się do każdego wnętrza.

Charakterystyczne nowoczesne meble metalowe i meble drewniane, białe czy kolorowo lakierowane, wymagają wielu różnorodnych i różnobarwnych dodatków. Kwiaty, dużo kwiatów w doniczkach i rozmaitych wazonach, są tu poprostu nieodzowne dla uniknięcia martwoty. To samo dotyczy, naturalnie, mebli koszykowych. Specjalnie do mebli tego rodzaju pomyślane są nowoczesne etażery kwiatowe, drewniane, lakierowane na żywy kolor, lub metalowe — dla umieszczenia małych roślin doniczkowych w znacznej ilości, by pokojowi zapewnić dostatek ożywiającej zieleni.

Helena Wolska.



Dzban Bolimowski (ceramika ludowa łowicka).

WŁOS I JEGO BUDOWA

Cykl pogadanek o pielęgnowaniu włosów rozpocznie od anatomii i fizjologii włosów, bez tych bowiem zasadniczych wiadomości trudno byłoby orjentować się w zasadach higieny, zapobiegania, wreszcie leczenia wad włosów. Otóż we włosie odróżniamy trzon, t. j. część wyrastającą ponad powierzchnię skóry i korzeń, t. j. część tkwiącą w zagłębieniu tkanki podskórnej. Zagłębienie to nosi nazwę „torebki włosowej”, (1) ujście zaś zagłębienia nazywa się „lejkiem”. W lejku otwierają się wyloty gruczołów łojowych, włosów. Korzeń włosa jest zakończony zgrubieniem, które nosi nazwę „cebulki” włosa. Cebulka ta siedzi, jakby na siodełku, na „brodawce” włosa (2). Brodawka włosa jest to wypuklenie części łączno-tkankowej skóry i wytwarza włos, jak również i pochewkę włosową. To też po wyrwaniu włosa wraz z korzeniem i cebulką, brodawka zawsze pozostanie, a włos bezwzględnie odrósł. O ile zaś brodawka zanika, włos, jako twór martwy, wypada i nowy na jego miejsce nigdy już nie odrósł. Po zaniku brodawki włos, jako twór martwy, może pozostawać w skórze około 100 dni. Normalnie zawsze pewna część włosów wypada, lecz na ich miejsce powstają nowe, młode i tym sposobem równowaga zostaje zachowana. O ile jednak następuje zanik brodawek włosowych, czego rezultatem jest nadmierne wypadanie włosów, równowaga zostaje naruszona i następuje wyłysienie. Taki nadmierny zanik brodawek włosowych następuje ja-

ko rezultat choroby skórnej, bo przecież brodawka włosowa jest częścią skóry. W samym włosie (w poprzecznym jego przekroju) rozróżniamy wewnętrzną część czyli rdzeń (3), (kórego może nie być we włosach cienkich, następnie część środkową czyli „korę” (4) i warstwę zewnętrzną, czyli „zewnętrzną błonkę” włosa (5). W warstwie „rdzeniowej” i korowej znajduje się „barwik”, od którego uzależniony jest kolor włosa. Na kolor włosa ma również duży wpływ obecność w nim powietrza, im bowiem powietrza jest więcej, tem kolor jest jaśniejszy. Siwienie włosa uzależnione jest z jednej strony od zaniku barwika, z drugiej zaś od obecności powietrza. Poza tem należy mieć na uwadze, że im włosy są jaśniejsze, tem są cieńsze. Jeżeli chodzi o gęstość uwłosienia, to najgęstsze jest ono w okolicy ciemieniowej. Tam jest włosów od 200 do 300 na jednym centymetrze kwadratowym. Na tyle głowy jest włosów od 200 do 240 na jednym centymetrze kwadratowym, w najgęstszej zaś części brody około 44 na 1 cm. kw. Co zaś do ogólnej ilości włosów na głowie, to u blondynek jest ich około 150 tysięcy, na głowie ciemnej około 100.000, a u rudych zaledwie około 30 tysięcy włosów.

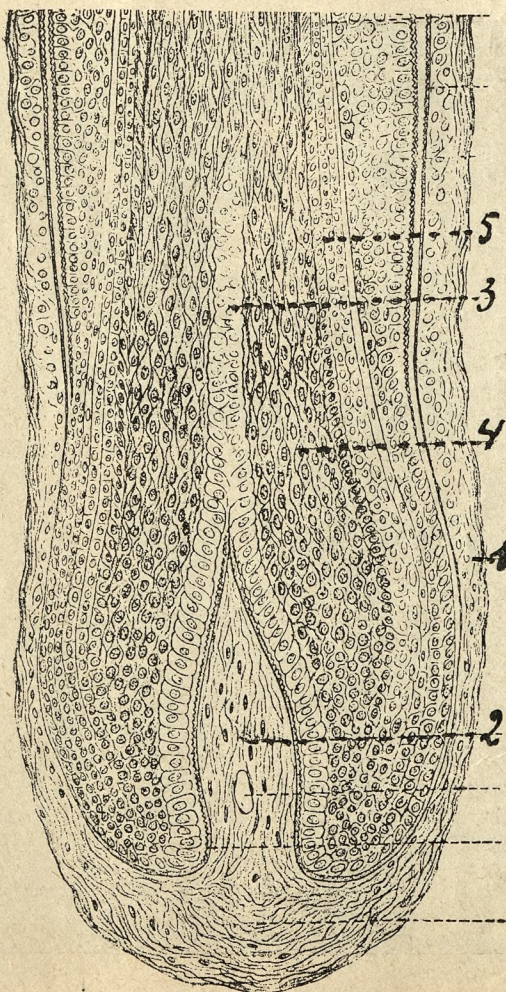
Każdy włos ma swoje unerwienie i swoje naczynia krwionośne, a także mięśnie, dochodzące do torebki włosowej. Kurcze tych mięśni mają wpływ na wydzielanie gruczołów łojowych. Powodują one również podnoszenie włosa, co daje się zauważyć podczas zimna, czy też jakiegoś wstrząsu nerwowego. Włosy grube, jak np. wasy u zwierząt (u kota) są zaopatrzone jeszcze i w nerwy dotykowe.

Według prof. Pinkusa włosy na głowie zmieniają się co 4 lata, rzęsy co 5 miesięcy. Prof. Obortin wykrył u ludzi zmarłych na przewlekłe choroby 33% włosów chorych (ze zmienionymi cebulkami), u zmarłych zaś na choroby zakaźne 44%. Normalnie włos zaczyna rosnąć już wtedy, gdy fizjologicznie zanikły włos (umarły) jeszcze nie wypadł. Po wyrwaniu włosa (według prof. Giovanni'ego) odrasta w 42—72 dni. U osób starych włosy zmieniają się znacznie wolniej, aniżeli u młodych.

Z chwilą dojścia do dojrzałości płciowej, która następuje stopniowo, zmienia się życie skóry i włosów. W tym to okresie gruczoły łojowe działają silniej, włosy zaś typu dziecięcego zmieniają się na typ dorosły—końcowy, przyczem owłosienie skóry dochodzi do szczytu swojego rozwoju. Po osiągnięciu dojrzałości płciowej w pierwszych okresach życia i u schyłku normalnej czynności gruczołów płciowych, włosy grubieją i stają się twardszemi i ciemniejszymi. W okresie przekwitania u kobiet, kiedy czynność jajników słabnie, zjawiają się włosy około brodawki sutkowej. U mężczyzn jeszcze przed okresem zaniku działalności gruczołów płciowych zjawiają się grubsze i ciemniejsze lub też siwe włosy w nozdrzach, uszach, a także na plecach i brwiach.

Jak widzimy z powyższego, w życiu skóry i włosów dużą rolę odgrywają gruczoły płciowe, ale i czynność innych gruczołów pokrewnych ma swój wpływ na włosy i gruczoły łojowe skóry. Zasadniczo daje się zauważyć, że osłabiona działalność gruczołów płciowych wpływa ujemnie na porost włosów u mężczyzn, u kobiet zaś odwrotnie — w osłabieniu działalności jajników daje się zauważyć nadmierny porost włosów, tam gdzie ich być nie powinno (broda, nogi, okolice sutek itp.). Na zakończenie zaznaczę, że prof. Pol-Pinkus i prof. Biseboth niezaprzeczenie dowiedli, iż strzyżenie włosów nie ma żadnego wpływu na ich porost.

Dr. med. Zofja Roszkowska.



Przekrój włosa w znacznym powiększeniu

KACZKI

Pomieszczenie i chów kaczek.

Jeżeli chcemy chować kaczki, musimy przede wszystkim pomyśleć o pomieszczeniu dla nich; może to być jaki kojec, odgradzony w większym budynku, lub budka, naprędce sklecona. Kaczki są bardzo mało wymagające i czują się zupełnie dobrze wszędzie, gdzie tylko zabezpieczymy je przed deszczem, przeciągami i wilgocią z dołu, bo choć same są ptakami wodnymi, w nocy lubią pomieszczenie suche; zimno też znoszą dobrze, znacznie lepiej, niż ciepło, choćby takie, jakie panuje w oborze czy stajni. Jeżeli więc przeznaczymy im miejsce w oborze, musi to być kojec wysoki, o ścianach pełnych, ażeby zbyt ciepła temperatura ich nie drażniła. O ile trzymamy kaczki w kurniku, musimy dać im też jakiś kąt zupełnie oddzielny, gdyż przebywając pod kurzemi grzędami, zanadto cierpią od nieuniknionego u kur robactwa (wszy), a z drugiej strony, odchody kaczek są tak gryzące, że kurom często szkodzą.

Jak już wyżej wspomniałam, ściany takiego kaczniaka mogą być z materiału dowolnego; większą uwagę zwrócić tu trzeba na podłogę. Najlepsza, podług mnie, jest betonowa, gdyż, po pierwsze, szczury się przez nią przedostać nie mogą, po drugie, jest łatwa do dezynfekcji. Jeżeli kto może się posługiwać miałem torfowym, powinien pokryć nim parociałową warstwą całą podłogę, a potem dopiero gęsto przysyłać słomą. Torf idealnie wchłania wszelką wilgoć i wyziewy, jak w tym wypadku, silnie gryzące. Słomę zmieniać trzeba często, torf pozostać może przez czas dłuższy, poczem wywieźć go można na kompost, gdzie zmieszany z różnymi innymi odpadkami, da znakomity nawóz. Kto miału torfowego nie posiada, dbać powinien o to, aby warstwa słomy była gruba, gdyż podłoga cementowa zawsze ziębi, a kaczki swoje nogi, wyziębione całodziennym przebywaniem na wodzie, w nocy lubią ogrzać.

Kaczniak powinien być podzielony na dwie części, lub, jeżeli pomieszczenie jest dostatecznie duże, można i w tem jednym, pod tylną ścianą, urządzić coś w rodzaju gniazd, gdzie kaczki nieść się będą, a potem, możliwe, że i wysiadywać młode. W tym celu z łat (listew) zbijamy małe kojczyki, które przytwierdzamy do ściany, wyściełając je wewnątrz suto słomą. Każda kaczka powinna mieć swój kojec, w braku zaś miejsca liczyć trzeba 2 kojce na trzy kaczki, gdyż one lubią nieść się tylko stale w jednym miejscu i o ile później siedzieć mają, to też tylko w tym upatrzonym kącie, i do żadnego innego miejsca zmusić się nie dadzą. Młodych kaczek, dopóki nie wyrosną, w jednym przegrodzeniu trzymać nie należy, gdy stare są z natury bardzo mało gościnne i nowych przybyszów stale niepokoją, a nawet ich ostro zaczepiają.

Obecność w bliskości wody do pływania konieczna jest dla kaczek tylko w czasie ich parowania się; pozatem wystarczy w zupełności, jeżeli przy zadawaniu im karmy będą miały stale wodę w korytku; sztukom, przeznaczonym na tucze, znacznie prędzej przybywa na wadze, o ile ich na wodę nie puszcza się stale, od czasu do czasu tylko dając im możliwość wykapania się.

Kaczka z natury bardzo żarłoczna, wybredną nie jest, ale że ilościowo dużo potrzebuje, więc koszty jej utrzymania stają się wygórowane w gospodarstwie,

gdzie mało jest odpadków kuchennych i brak większej wody, obfitującej w roślinność i wodne żyjątka. Tam więc, gdzie kaczka jedynie tylko na koryto oglądać się może, musimy się starać, aby ono było dostatecznie zaopatrzone, przede wszystkim paszą taką, która służy, że tak powiem, do wypełnienia żołądka, a następnie tą, która jest jej do przysporzenia sił potrzebna.

Podstawową paszą są: ziemniaki gotowane, buraki i marchew pastwana, brukiew — wszystko zmieszane pół na pół z plewami, czy to seradelowemi, czy innych zbóż. Do trzech części takiej paszy dodajemy jedną ze śrutowanego jęczmienia, owsa lub kukurydzy. Zadawać im można paszę dwa lub trzy razy dziennie, zależnie od tego, czy poza tem jeszcze coś innego same sobie znajdują. Przed i w czasie niesienia się można im jeszcze przed nocą dodawać trochę ziarna, ale nie za wiele, bo się prędko zapasają, co znacznie zmniejsza nieśność.

Na noc kaczki powinny być zawsze zamykane w budynku, nie można im pozwalać pozostawać całą dobę na wodzie, a to z tego względu, że jajka noszą przeważnie nocą, a o ile pozostają na swobodzie, niezamknięte, gubią je po krzakach i zaroślach, często nawet opuszczają je do wody.

Korytka do zadawania paszy i picia muszą być utrzymane w czystości, często szorowane i zmywane gorącą wodą i od czasu do czasu wewnątrz i zewnątrz bielone, dla zabicia różnych mikrobów chorobotwórczych. Miejsce ich zwykłego posiłku obfitować powinno w żwir, kawałki wapna i zieleninę; jeżeli tego nie ma, trzeba się o to specjalnie postarać i mieszać im z karmą. Woda świeża, często zmieniana (zimną pokojowej temperatury), jest koniecznym warunkiem zdrowia.

Kaczki, przeznaczone na tucze, oddzielamy od stada, zamykając je w specjalnie na to odgradzonym podwóreczku, z cieplejszą ubikacją do noclegu. Jedzenie ich składać się będzie z tych samych składników, jak dotąd, z tą różnicą, że będziemy zmniejszać objętość paszy „wypychającej“, zastępując ją większą ilością śrutu, czy też otrąb. Przez wrodzoną żarłoczność i niedopuszczanie do zbytowego ruchu, tuczą się szybko. Jeżeli czystość odpowiednia będzie przestrzegana, pierze nie powinno się walać, gdyby to jednak nastąpiło, na dzień przed biciem trzeba kaczki wypuścić na wodę, żeby się umyły, a potem na czystej słomie wysuszyły, bo czyszczenie dartego już pierza jest o wiele kłopotliwsze i często trudne do wykonania. Tak się tuczy kaczki zupełnie już wyrosnięte, kilkumiesięczne i starsze.

Najrentowniejszym jednak, a możliwe, że nawet jedynie oplacającym się, jest tuczenie drobiu młodego, który już od trzeciego dnia po wylęzieniu zaczynamy karmić intensywnie, a po upływie dziesięciu tygodni sprzedajemy. Małe kaczęta przez pierwsze dwa dni po wylęzieniu nie powinny dostać nic do jedzenia, gdyż najpierw muszą strawić zapasy żółtka, nagromadzone jeszcze podczas pobytu ich w jajku. Jako pierwsze pożywienie otrzymają tarty i zwilżony trochę chleb, pomieszany z jajkiem, ugotowanym na twardo i posiekanym, oraz wodę, ile tylko pić zechcą. Na drugi dzień można im już potrochu dodawać twaróg, kaszę prażoną i w większej ilości zieleninę, szczególnie młode pokrzywy. Po 3-ch tygodniach zaczynamy je już przyzwyczajać do cokolwiek tańszego pożywienia, przez dodawanie kartofli, przechodząc powoli do zwykłej karmy.

Młode kaczęta do trzeciego tygodnia swego ży-

cia nie powinny wcale wiedzieć, że istnieje woda do pływania: puszczone zawczasie na wodę, chorują, często nawet zdychają, gdyż piórka ich są miękkie, łatwo przemakalne; gruczoły, wytwarzające tłuszcz, który czyni pióra kaczek nieprzemakalnymi, rozwijają się znacznie później.

W pierwszych tygodniach nie wolno trzymać kaczek w ciasnych ubikacjach: muszą one mieć dużo ruchu dla wzmocnienia i normalnego rozwoju; dopiero po upływie 6-ciu tygodni swobodę ich możemy ograniczyć, o ile je na tucz przeznaczamy. Sztuki hodowlane powinny pozostawać na swobodzie. Niektórzy przedsiębiorcy, chcący osiągnąć jak największą wagę tucznego drobiu, siłą zmuszają go do jedzenia, wypychając mu przemocą gniecione kluski do gardła; ale jest to sposób tak barbarzyński, że nie tylko nie powinien być dozwolony, ale musi być karany sądownie.

U kaczek ras tucznych ilość zniesionych rocznie jaj odgrywa mniejszą rolę, gdy przeciwnie, u ras niesnych, jak Khaki Campbell i Biegunów indyjskich — jest to zagadnienie b. poważne; trzeba je więc tak, jak kury, kontrolować, zapisywać, aby mniej płodne sztuki usuwać w porę i nie karmić darmożjadów. Kaczki te powinny być obrączkowane, każda musi posiadać swój własny numer i kontrola nieśności prowadzona być winna tak, jak się to robi u kur, co szczegółowo opisywałam w roku zeszłym. Przeprowadzenie szczegółowej i dokładnej kontroli w kaczniku przedstawia znacznie więcej trudności, niż w kurniku, gdyż kaczki przeważnie niosą się w nocy i nawet badanie ich już w wieczora słabe daje wyniki. Najlepiej jest codziennie na noc każdą niosek zamykać do osobnego gniazda-kojczyka, wtedy rano będziemy dokładnie wiedzieli, która jajko zniosła. To jednak jest możliwe tylko tam, gdzie tych niosek niema tak wiele — w większych hodowlach staje się to zupełnie niemożliwe. Tu radzić sobie trzeba inaczej: rozbijamy kaczki na stadka (każde stadko znaczone jest innym kolorem, obrączkami celuloidowymi) i kontrolujemy je; jeżeli po pewnym czasie okaże się, że jakieś stadko gorzej się niesie, wtedy dopiero je rozłączamy na pojedyncze sztuki i badamy każdą z osobna.

Przy doborze stad hodowlanych, chcąc mieć gwarancję dobrego załęgania się jaj, niemożna przeznaczać na jednego kaczoza więcej nad pięć kaczek, i to tylko wtedy, jeżeli będziemy mieli dla nich do dyspozycji wodę do pływania, gdyż kaczki parują się przeważnie i najłatwiej na wodzie. Zastępowanie sadzawek wkopanymi baljami lub specjalnie urządzo- nymi basenami może być dobre, ale muszą być dobierane jak największe i wodę w nich trzeba często zmieniać. Płeć u kaczek łatwo poznać: u wielobarwnych kaczozy już od wczesnej młodości różnią się jaskrawymi piórkami, u jednobarwnych — głosem. Każda złapana sztuka niezadowolenie swoje głośno objawia: kaczka wyraźnie kwacze, kaczoż jest zawsze jakby zachrypnięty i zamiast wydawać czysty głos, syczy. W późniejszym wieku kaczożom zakręcają się piórka na ogonie, jak to widać u Peking'a i Biegunów białych. Zmiana krwi, przez zmianę kaczożów, przynajmniej co dwa lata, jest, jak u wszystkich zwierząt i ptaków, bardzo pożądana.

Okres wylęgania trwa u kaczek 28 dni, choć często, przy dobrym nagrzaniu i sprzyjających warunkach, młode zaczynają się już nakluwać po 26 dniach. Jajka od czasu do czasu dobrze jest skrapiać letnią wodą, przez co kruszeją i łatwiej przy wylęganiu pekają.

A. D.

O KUCHNI ŻYDOWSKIEJ

Co mnie skłoniło do pisania o kuchni żydowskiej? Przedewszystkiem ciekawość jej poznania. Żyjemy dobrych kilka stuleci obok żydów i mało o nich wiemy. Może dlatego, że bardziej z nich cywilizowani starają się przyjąć zwyczaje i obyczaje nasze, pozornie, czy szczerze, stają się polakami, a z pozostałymi, z ortodoksami z Ghetta żadnej styczności nie mamy.

I nikomu z ludzi studjujących kuchnie sąsiednich narodów, a nawet kuchnie egzotyczne dalekich mieszkańców innych części świata, dotąd na myśl nie przyszło zająć się specjalnie kuchnią żydowską.

Krażyły wprawdzie wiadomości o tem, że kuchnia ta jest bardzo smaczna, bardzo odrębna, bardzo korzenna.

Wiadomości te szerzyli przeważnie jarmarkowicze, którzy po mniej lub więcej korzystnych transakcjach handlowych w miasteczku i po obfitym kieliszku zjadali faszerowaną rybę w szafranowym, pieprzonym sosie z wyborną, pulchną i białą, jajeczną, szabasową chałą. Właściwie, z całej kuchni żydowskiej szerszemu ogółowi znany był szczupak lub karp faszerowany po żydowsku. Pamiętam z lat dziecińczych, jak mój ojciec, wielki smakosz, od czasu do czasu kazał przywozić, o parę mil, starą Fejgę, aby przyrządziła jakiegoś ogromnego szczupaka — co niesłychanie oburzało starego kucharza Bazyla. Twierdził on, że dawno posiadał lepiej od niej sztukę przyrządzenia ryby po żydowsku. A jednak wyrafinowane podniebienie ojca odczuwało różnicę i Fejga czasem przyjeżdżała, ku radości dzieci, które dostawały specjalne pozwolenie obejrzenia jej watowanej, atlasowej, drobnymi rioszkami pokrytej peruki.

Wszyscy wiemy, że prawowierni żydzi jadają tylko dania koszerne, czyli przyrządzone według pewnych przepisów rytualnych — nawiasem mówiąc, gwarantujących bezwzględną czystość przyrządzonych pokarmów. Że spożywają tylko przednie części ubitych zwierząt, przyczem sam ubój odbywa się znowu z zachowaniem przepisów rytualnych, gwarantujących zupełne zdrowie danej sztuki bydła.

Wiemy też — gospodynie to nieraz nieprzyjemnie odczuwają — że w dużych miastach, ze znacznym procentem ludności żydowskiej, trudno o górkę, kotletówkę lub mostek cielęcy, o antrykot wołowy itp. Wiemy, że gęsi szmalec stanowi nie tylko ulubiony tłuszcz żydowski, lecz jest dla nich artykułem niezbędnym, gdyż przepisy talmudu zabraniają przyrządzanie mięsa na maśle w myśl przykazania: „nie będziesz spożywał koźlęcia w mleku matki jego“, a łój wołowy i cielęcy, mieszczą się przeważnie w zadnich częściach tych zwierząt, a zatem są zakazane do użycia.

Czasem jakaś karczma przydrożna lub zajazd w małym miasteczku słynie z wybornie przyrządzonej ryby po żydowsku, na którą zajeżdżają okoliczni mieszkańcy. Mieszkańcy miast prowincjonalnych chwalą sobie świetne żydowskie obwarzanki i wyborne, szabasowe chały.

Lecz oto zainteresował się kuchnią żydowską jeden z najbardziej znanych w Europie gastronomów, autor całego szeregu dzieł kucharskich, profesor Edward Pomian Pożerski, nasz rodak, niestety, piszący tylko po francusku. Jego dzieło „Dobrze jeść, aby dobrze żyć“ („Bien manger pour bien vivre“), nagro-

dziane przez Akademię Francuską, zostało przełożone na większość języków świata — lecz dotąd nie na polski. Wykwintny znawca znalazł w kuchni żydowskiej nowe, mało znane kombinacje znakowe, przestudjował je w kilku największych skupieniach ortodoksów żydowskich: w Alzacji, w Algierze i w Polsce (Kraków, Kazimierz i t. d.).

Studując kuchnię poznał i obyczaje tych żydów. Opis tych obyczajów stanowi część pierwszą tej pierwszej w swoim rodzaju książki kucharskiej, zaopatrzonej jako tytuł główny w znaki żydowskie, znaki które widzimy na szyldach lub oknach każdej restauracji w dzielnicy żydowskiej i które są oznaką kuchni koszernej. Z pomiędzy tych studjów etnograficznych najbardziej ciekawą jest niesłychanie upoetyzowana opowieść o Esterce, kochance króla Kazimierza Wielkiego.

Z książki tej poznałam głównie kuchnię żydowską. Po uważnem jej przeczytaniu doszłam do wniosku, zresztą zupełnie zgodnego z uwagami autora, że kuchnia żydowska specjalna, a przynajmniej jedna i ta sama kuchnia dla żydów mieszkających w różnych krajach kuli ziemskiej, nie istnieje. Że w każdym poszczególnym kraju żydzi przyswoili sobie szereg dań miejscowych, nadając im tylko specyficzny charakter przez przyrządzanie ich na tłuszczu gęsim, jedynym tłuszczu zwierzęcym dozwolonym przez przepisy rytualne. Pozatem używają oni obfitości zapachu i korzeni — pozostałość wschodu i dużo cebuli w dosyć nieprzewidywanych kombinacjach, przeciwko czemu protestuje wykwintny gust profesora Pomiana.

Kilka potraw z tej książki wypróbowałam — przez ciekawość — a zjadłam z przyjemnością. Te kilka potraw podaje dzisiaj czytelnikom „Bluszczu”. Może która pójdzie za moim przykładem i spróbuje i może jej to będzie smakowało. Wszak wzbogacanie kuchni w nowe dania ogromnie się przyczynia do zaostreżenia apetytu biesiadników, a różnaitość w jedzeniu jest zawsze dowodem wysokiej kultury jedzących.

Ludzie pierwotni kontentują się jedzeniem codziennych tych samych dań, z niechęcią widząc, nieraz protestem witając najsmaczniejsze rzeczy nowe. Pionierki większego użycia jarzyn i owoców, nowych systemów przyrządzania pokarmów coś wiedzą o tym konserwatywnie gastronomicznym. Żydowskie potrawy przezemnie podane są raczej ze starej szkoły, nie wywołują więc chyba protestu u takich, tylko mięso i mąkożernych, konserwatystów.

Pani Elżbieta.

Dr. Julia Świtalska
powróciła

INSTYTUT PIĘKNOŚCI I ZDROWIA

Krucza 31

Tel. 102-77

WARSZAWA.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

PIEROŻKI KARTOFLANE (KREPLOKI).

Dziesięć dobrych, mączystych kartofli ugotować w łupinach. Obrąć dopóki gorące, utłuc lub przepuścić przez maszynkę. Dwie duże cebule pokrajać drobno i przesmażyć, lekko rumieniąc w łyżce gęsiego szmalcu. Dwadzieścia deka pieczarek drobno pokrajanych zasmażyć prędko w niedużej łyżce szmalcu gęsiego, zmieszać kartofle, cebulę i pieczarki, osolić do smaku, popieprzyć. Zrobić ciasto z sześćdziesięciu deka mąki, jednego jajka, łyżeczki soli i takiej ilości wody, aby ciasto się dało dobrze wyrobić i wałkować. Rozwałkować jak najcieniej, wycinać szklanką krążki, napępniać kartoflaną masą, mocno ścisnąć brzegi. Gotować w osolonym wrzątku i podawać polane gęsim szmalcem przesmażonym z drobno krajaną cebulą, lub też smażyć na gęsim szmalcu, rumieniąc pierożki z obu stron i podawać bardzo gorące.

FERFELKI.

Z 25 deka mąki, łyżeczki soli, jednego jajka i wody, zrobić zwykle klusieczki krajane. Obsuszyć je nieco, rozsypując rzadko po stolnicy, osypać mąką i siekać tasakiem, aż otrzymamy klusieczki rozmiaru ziarenka ryżu. Rozpuścić na dużej patelni sześć deka szmalcu gęsiego, wysypać nań ferfelki, wymieszać doskonale, aby się wszystkie pokryły tłuszczem i smażyć, miesząc ostrożnie, aby nie pognieść. Smażyć na silnym ogniu. Gdy się ładnie zrumienia, jeszcze odrobinę posolić i lekko poprószyć łagodną papryką.

SZALET JABŁECZNY.

Kilo jabłek obranych i pokrajanych drobno zmieszać z następującymi dodatkami: dziesięć deka tartej bułeczki sparzonej wrzątkiem, aż dobrze napęcznieje, dwanaście i pół deka rodzynków namoczyć w dobrym kieliszku rumu. Wymieszać dokładnie z jabłkami, dodając po jednym sześć jaj i małą łyżeczkę soli. W formę ogniotrwałą wlać parę łyżeczek oliwy, dokładnie pokrywając nią ścianki formy, postawić na blasze, gdy oliwa zacznie dymić, wysypać wewnątrz formy cukrem-pudrem. Przełożyć do formy masę. Wstawić w bardzo gorący piec. Gdy się zrumieni, ogień zmniejszyć. Piec wolno dwie godziny. Gdy napół zastygnie, wyjąć z formy. Podaje się zimny, posypany cukrem-pudrem.

DROBNE OGŁOSZENIA

RUTYNOWANA siła biurowa, znająca się na buchalterji, ze stenografją, niemieckim, pisząca na maszynie, poszukuje posady. Łaskawe oferty proszę skierowywać do Administracji „Bluszczu” dla S. N.

UDZIELA lekcji gry na pianinie. Oboźna 4, sklep.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr.,
rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz”. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Jesień.

Przedemną rozpościerają się rżyska, oplecione kanwą babiego lata. Patrzę na białe brzozy, tyle ich jest z listowiem, drżącym nakształt strun, gnie się ono pod niewidzialnem tchnieniem wiatru, co do mych uszu niesie tę samą pieśń-opowieść. Objęłam kopułę bezbrzeżnego widnokregu, który się zawarł nademną, jak błękitny, nabijany złotem dzwon; słyszę ją raz jeszcze, tę melodję niezrównaną. Bo serce gra, śpiewa i dzwoni, najłżejszy szelest zapomnianych kłosów stawia przed oczyma obrazy, dziś właśnie cudowne, bo dalekie, jak baśń.

Wiosna! Ogromne łany, łany nieobjęte wzrokiem zasnuła oto aksamitna ruń zbóż; pachnie kwiatami, słońcem i tą miodochlebną słodczą ziemi, której treść zna dobrze skowronek, kochanek słońca i pól, której woń z rozkoszą wchłania znużona pierś rolnika. Strzela w górę żywiczna woń świerków i jodeł, rosnących miejscami, tworzących urocze zacisza dla oracza, ociekającego potem trudu. Jakże czysto drga w powietrzu pieśń ptaszęca, a takt owej symfonii przyrody wybija ostrze siekiery, uderzającej o twarde pnie. Karczkuje wyrąb leśny osadnik-żołnierz, by gniazdo przyszłym pokoleniom rycernym uwić, tu, wśród odwiecznych, krwią jego własną okupionych dzierżaw.

Bo cię ukochał, o matko-ziemio, matko rodzielko, zawsze jedna i ta sama, czy to w huku dział, niszczących krzywdę-niewolę, czy też cudownie rozkwitła wiosennym plonem pokoju.

Potem, szybko w letnim skwarze dojrzewają łany zbóż, blaski i kwiaty tracą pastelową łagodność w zlewie tysiąca gorących barw. Bo to i złota wszystkie odcienie na niebie i na ziemi, dostojnej zbożnym ciężarem, i czerwień maków, wplecionych w kłosa czy w płowy warkocz dziewczęcy, że w aureoli tegoż szafirowe oczy lśnią jak habry, te same, które ukrywa szelestny a bezkresny łan.

Rozkołysał się on pod wiatru pieszczotą, nakształt fal morskich, niegroźnych wcale w swej pokłonnej muzyce, sławiącej słońce i młodość.

To też, gdy pochylił się do ziemi jego płynne złoto, poddane posłusznemu uderzeniom ostrych kos, uderza w niebo piosnka żniwiarzy triumfalnie dziękczynna. Śpiewa bowiem o trudzie około roli i błogosławi go. Śpiewa jak każdą skibę ziemi trud ów żyźni potem i krwią, aby stał się cud tworzenia. Aby ziemia, godząca w dłonie i czoło oracza cierniem i głogiem, napęczniała wreszcie w życiodajny plon, nakształt pierwotnych świątyń-domów, których widok dobywa z piersi żołnierza-rolnika westchnienie ulgi. Westchnienie to, jak modlitwa płynie w niebo i jest także wyznaniem miłosnem, ślubującym wierność ziemi żywicielce, ziemi twórczyni łask wszelakich, ziemi matce życia i śmierci; ziemi zawsze tej samej, czy to w huku dział, rozwiewających krzywdę i niewolę na cztery świata strony, czy też bogatej w stokrotny plon z łona jej dobytego o czasie żniw, jak i złotą polską jesienią.

I znowu zapłonily się lasy, daleko siniejące na horyzoncie. Dzwoni znowu symfonia liści tęczowo-barwnych, w te same może tony, któremi tętni bijące serce.

Bo nawet, gdy czarne łono matki wszechstworzenia ciernie i głogi rodzić zacznie, karmione potem i łzami, zasilone bólem rozczarowań, czyż nie jest jak

urna drogocena, w której spoczęły sny o dobrobycie, tęsknota za szczęściem nieosiągniętym?... Jakże ciężko wtedy nawet rzucić zagon swój własny, z nim świetlistość powietrza, syconego słońcem i wonią, a z nim skowronczą rzeźkość i czar czystego, błękitnego Piękną.

Bije serce dzwonu... echa niosą spletaną melodję daleko, szeroko. Czemuz jeno serce ludzkie, serce bliźnie głuche jest na zawołanie ze wschodnich Kresów, będące i skargą i prośbą?!

Czyż ma przebrzmieć bez echa?...

Zofja Persomska — Byteń

Jak pracujemy.

Pomimo gorącego lata tegorocznego, Oddział Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet w Drohobyczu nie przerwał swej pracy. Jedne z członkiń wyjeżdżały na wyuczasy w lipcu, inne w sierpniu, tak, że warsztat nasz był w ciągłym ruchu.

Dnia 13 lipca odbyło się otwarcie i poświęcenie „Polskiego Ogniska dla Służby Domowej p. w. św. Teresy”. W końcu miasta, na otwartem, wzniesionem miejscu stoi domek, świecąc białą swych ścian, śmiejąc się jasnymi oknami. Białe firanki, kwiaty na oknach, czyściutko zaślane łóżka, obrazki na ścianach śliczny obraz św. Teresy, składają się na ogromnie miłą całość, nadając Ognisku ciepło i czar ogniska domowego. Przed domem duży ogród warzywny, doskonałe źródło zaopatrzenia Ogniska na zimę w ziemniaki i jarzyny.

Celem Ogniska jest otoczenie fizyczną i moralną opieką dziewcząt i kobiet, pracujących jako służące domowe, ich uświadczenie obywatelskie, wyrobienie w nich godności kobiecej, sumiennosci, obowiązkowości; nauczanie, za pomocą kursów gospodarczych, fachowego traktowania swych obowiązków. Parę lat przejdzie, a przy Ognisku będzie świetlica, stały kurs gospodarski, komplety robót ręcznych; jednym słowem, cały warsztat pracy kobiecej. Narazie, każdej niedzieli, w godzinach popołudniowych, Zarząd Ogniska urządza pogadanki, lub ksiądz przychodzi na naukę.

Wiem, że trzeba dużo cierpliwości, zwłaszcza wytrwałości i uporu, by „zmusić” te, dla których Ognisko jest przeznaczone, do zrozumienia potrzeby jego istnienia i do przyzwyczajania się do niego. Lecz trzeba, niestety, również niemało wytrwałości, aby wywalczyć w naszym społeczeństwie prawo obywatelstwa dla tej nowej placówki. Bo wiadomo: u nas wszystko, co nowe, to napewno złe! A przecież ze wszystkich stron nie słyszymy nic, prócz ciągłych a nieustannych narzekań, na nasze pomocnice domowe, których jedynymi wychowawczyniami i kierowniczkami były dotychczas panie domu. Mamy też opłakane rezultaty, łamiemy nad tem rozpaczliwie ręce, nie próbując zaradzić złemu. A gdyby tak, przypuścimy, żadna gospodyni domu nie przyjęła służącej inaczej, jak z zaświadczeniem, że dana służąca przesłuchana, powiedzmy, trzymiesięczny kurs gospodarski, że jest członkinią Ogniska i uczęszcza na pogadanki w nim urządzone? Czy nie byłoby to tym pierwszym, nieśmiałym krokiem w kierunku polepszenia naprawdę smutnego dzisiaj stanu rzeczy? Owszem, kursy gospodarskie dla pań są konieczne, obywanie się bez słu-

zając również może być rajem, lecz nie każda gospodyni, szczególnie pracująca zawodowo, może się tak urządzić; pomocnice domowe są najczęściej, w naszych warunkach, niezbędne.

A przecież z dziewczyny, przychodzącej na służbę do miasta, da się dużo zrobić. Że jest to materiał podatny do kultury, dowodem może służyć przedzیرgnięcie się jej w ciągu roku w miejską elegantkę. Lecz zainteresowania jej, będące często ślepem naśladownictwem zainteresowań i zamiłowań jej pani, spróbujemy skierować w inną stronę, odsłaniając powoli przed jej oczyma inny widnokrąg, budząc w niej, raczej stwarzając obywatelkę, a wtedy może niejedna z nich będzie inna, niż jest dzisiaj.

Podczas czerwcowego zjazdu Delegatów Zw. Pracy Obyw. Kobiet wzywałam panie do rozpoczęcia intensywnej pracy nad służbą domową i dziś powtarzam to samo: „Zajmijmy się tym najbliższym, a nie-uświadomionym elementem, nie stwarzajmy podłoża do zawiści i rozgoryczenia, spróbujemy skierować ten żywioł w inną stronę, a może przez to zmniejszymy rzeszę, wrażliwą na teorie komunistyczne”.

Zobaczmy tylko, w jakich warunkach znajduje się dziewczyna, poszukująca służby. Zatrzymajmy się u pośredniczek, u których ona się mieści, zobaczmy tylko, skąd, z jakiego otoczenia bierzemy do swego domu tę, która ma nam służyć do pomocy, pod opieką której pozostawiamy dom i dzieci? Przecież pośredniczki te są często pośredniczkami „do wszystkiego”, gdyż na dziewczynę, pozostającą długo bez miejsca, czyha ulica!

Dlatego też, przede wszystkim u pań, u gospodyń domu, taka placówka, jak Ognisko dla służby, znaleźć powinna zrozumienie i poparcie.

Po otwarciu Ogniska, Zarząd Oddziału zajął się gorliwie przeprowadzeniem następnego „przedsięwzięcia” (w projekcie jest ich nieprzebrana ilość). W początku września otwieramy „Polską Mleczarnię”, ponieważ Drohobycz żadnej dotychczas nie posiada, a ukraiński „Masłójuz”, ogromnie po całej Małopolsce Wschodniej rozgałęziony, koncentruje w swych rękach cały handel nabiałem. Jest to placówka również o dużej wadze, i w swoim czasie podzieli się z Sz. Współczytelniczkami naszego „Bluszczu” bliższymi szczegółami, co do jej znaczenia.

Narazie szczęśliwa jestem, widząc zapal i zainteresowanie, jakie praca nasza budzi w szeregach pań, szczęśliwa jestem, że tu, na krańcu państwa, polka rozumie swój obowiązek, że z niczego, temi „dwoma godzinami pracy społecznej” potrafi stworzyć pożyteczną placówkę, wmurowując najmniejszą bodaj cegielkę do wspólnej budowy. *L. Chomszowa — Drohobycz.*

W różnych sprawach.

Piszę parę słów w odpowiedzi p. Jasińskiej. Że p. Jasińska rodziła lekko, nie chorowała na żadne kobiece choroby i nie ma zmarszczek, to jeszcze nie dowodzi, że przerywanie ciąży musi być karane.

Zaznaczam jednak, że nikt nikogo do przerywania ciąży nie nawołuje.

Każda kobieta powinna iść za głosem własnego rozsądku i sumienia.

Znam kobiety, które rodziły jeden raz bardzo ciężko, chociaż nigdy nie robiły poronienia i znam inne, które lekko rodziły; znam i takie, które robiły poronienia w ciągu 10 lat i wyglądają młodo i zdrowo.

Pani Jasińska, jako córka lekarza, musi się zgodzić, że jednak zabiegi lekarza dają większą pewność zdrowia, niż zabiegi dokonane w brudnym pokoju przez osobę niefachową.

Wiem, że poronienia nie wpływają dodatnio na zdrowie kobiety, ale uważam, że lepiej narazić własne życie, niż skazywać dziecko na nędzę i cierpienie.

Chciałabym, żeby Sz. Czytelniczki mnie zrozumiały.

Wymagam od kobiety świadomości czynu i podania się karze (poronienie) za swój czyn: zapomnienie, czy grzech.

Tylko kobieta powinna pokutować za swoje grzechy, nigdy dziecko!

Możliwe, że „pomieszałam” dwa pojęcia (może byłam źle rozumiana). Postaram się udowodnić inaczej.

Jeżeli podczas stosunku płciowego kobieta lub mężczyzna zarazi drugą osobę chorobą weneryczną, co wtedy?

Można osobę winną skarżyć i dostać odszkodowanie na doktora, ale jeżeli osobnik, który zaraził jest biedny, to dla osobnika poszkodowanego nie będzie żadnej korzyści materialnej z wyroku.

Czy osobie poszkodowanej nie wolno leczyć się? Wolno, a nawet musi się leczyć.

Czy choroba weneryczna zostawi ślady na organizmie, to dotyczy tylko danej osoby, która się zapomniała i ponosi skutki. A jeżeli, zamiast choroby, kobieta zajdzie w ciążę (a jest uczciwa, tak, uczciwa!) i nie chce zmuszać mężczyzn do ślubu, albo jeżeli wie, że mężczyzna nie ożeni się, a zarabia zbyt mało, żeby mógł utrzymywać kobietę z dzieckiem, to czyż spędzenie płodu (bez względu na skutki) nie jest zabiegiem leczniczym, pozwalającym kobiecie po krótkiej chorobie wrócić do pracy.

Zresztą nie mam zaufania do małżeństw z musu.

A co do „nieśmiertelnych genjuszów ludzkości”, którym kobiety, robiące poronienia nie dają możliwości uszczęśliwić świata, to też niepewne. Tak samo może urodzić się zbrodniarz, albo kaleka, przeklinający swoje życie.

Mam wrażenie, że p. Jasińska myślała o paniach z towarzystwa. Dla zdrowia zabijać można, a ze względów materialnych i osobistych, nie! Bogate panie zawsze sobie poradzą, niema obawy.

Gdyby większość kobiet myślała tak, jak Szanowna P. Naglerowa, może równouprawnienie byłoby czynem, a nie słowami. „Artykuł 214” p. Naglerowej napisany jest tak logicznie i szczerze. Ale, czyja wina? Dlaczego stale winimy mężczyzn?

„Sądzę, że kobiety nie byłyby ani lepsze, ani gorsze”. Ja jestem tego pewna, a jednak nie dopuszcza się kobiet do sądów przysięgłych, do sądownictwa, do ministerstwa i wyżej. Prawie, że nie dopuszcza się do sejmu. Ile mamy posłanek? A przecież kobiet nie mniej jest w Polsce, niż mężczyzn.

Dlaczego nie postawić sprawy jasno. Czy kobiety w Polsce są uprawnione, czy nie? Jeżeli tak, jeżeli mamy równe prawa, to żądamy wprowadzenia tych praw w życie. Nie cieszymy się z byle czego, nie cieszymy się, uważamy to za normalne! A gdy będą nowe wybory do sejmu, boję się, że kobiety znowu będą ilością znikomą. A kogo wtedy winić?

Mężczyźni? Nie. Same jesteśmy winne! Bo mężczyźni, chociaż różnią się w poglądach i należą do krańcowych partii, nie zastanawiają się i nie piszą masy listów, czy mężczyzna, który ma przy sobie i sam wychowuje swoje nieślubne dziecko godzien szacunku, czy nie?

A my tracimy czas i energię nad nikomu niepotrzebnym „szacunkiem”! A zapominamy, że mamy prawo należeć do sądów przysięgłych, że mamy prawo być ministrami i że z praw trzeba korzystać, bo inaczej prawo traci wartość i idzie w zapomnienie. Popieram z całym przekonaniem żądania Klubu Politycznego Kobiet Postępowych. Ale czy nie byłoby

wskazane urządzić wiec kobiecey, dać możność wypowiedzenia się masom i tam zbierać potrzebne podpisy. Trzeba zejść do mas, budzić, uczyć i uświadamiać.

Przypomnijmy sobie, że kobiety walczyły o równouprawnienie; siedziały w więzieniach, były ośmieszane, a jednak walczyły!

Czas już, żeby kobiety przestały być „nieszczęśliwymi ofiarami męskiej brutalności“, nie prosić, a żądać musimy tego, co się nam prawnie należy.

Zofja Galicka — Warszawa

Głos z puszczy (w odpowiedzi p. Ninie M.).

Ucieszyłem się bardzo poruszeniem sprawy mieszkaniowej i przyznaję Pani rację, że czas najwyższy, aby związki kobiece wzięły się do zwalczania tej bolączki.

Niech się Pani pocieszy, że nietylko wielkie miasta obfitują w podobne wypadki. Tam przynajmniej macie różne spółdzielnie mieszkaniowe, z których czterzy zbankrutuje, a jedna choć ulży doli. My zaś z prowincji gorzej mamy, zwłaszcza póki musimy walczyć bezskutecznie z tutejszemi, azjatyckimi stosunkami. Nasze głosy, wołające z puszczy (bo zewsząd nas puszczę leśne otaczają), giną martwym echem, stłumione władzą naszych bezwzględnych kierowników, dyrektorów fabrycznych.

Warszawa ma różnych przedsiębiorców budowlano-mieszkaniowych, my zaś dyrektorów, którzy sami rozstrzygają kwestje mieszkaniowe.

Trzeba zaznaczyć, że jest to jedna może z największych osad fabrycznych w Polsce, przebogata w lasy, więc materiał budowlany można mieć za bezcen, domy zaś nasze są z drzewa.

Wszystko jednak zależy tylko od dobrej woli kierownictwa fabryk, a ta, niestety, szwankuje.

Trudno, każdy wiek ma swoje złe i dobre strony, wiek XX-ty jest wogóle feralny na całym świecie. W Rosji nie wolno wyznawać religji, we Włoszech nie wolno przejść bezpiecznie po ulicy, bo grozi trzęsienie ziemi, a nam, zgadnijcie panie! nam nie wolno zawierać związków małżeńskich, ani rodzić dzieci! Jeśli zajdzie podobny, skandaliczny wypadek, że dwoje ludzi zwiąże się na całe życie, popadają w niełaskę u naszych władców, a gdy jeszcze pozwolą sobie na „luksus“ w postaci dziecka, wtedy wszystkie klątwy spadają na ich biedne głowy. Jakto, przyjdzie taki jeden, drugi inżynier, obciążony kłopotami i żona niedługo urodzi dziecko, a tu mieszkanko ciasne, a większego niema!

Małżeństwo, które oczekuje dziecka, dusi się w dwóch pokojach, bez spiżarni i łazienki. Mamy tu nawet takiego nieszczęśliwca, co z żoną i niemowlęciem ma jeden pokój i rodzaj kuchni na stryszeku, gdzie na prymusie robi się pranie pieluszek!! Jest to człowiek z uniwersyteckim wykształceniem! Inne młode małżeństwo musiało, wskutek powiększenia się rodziny, urządzić jadalnię w przedpokoju. Czyż trzeba lepszych dowodów, świadczących o skandalicznych u nas stosunkach?!

Widzi więc Pani, że i my z prowincji cierpimy niewygody. Brak mieszkań i brak dobrej woli zaradzenia temu stanowi rzeczy! Specjalne zato przywileje mają kawalerowie; niektórzy rozporządzają lokalami o 4—5 pokojach.

Niech ten opis naszej niedoli mieszkaniowej stanie się bodźcem do walki kobiet z nieuczciwością i bezwzględnością naszych panów przedsiębiorców i gospodarzy mieszkaniowych.

B. K. — Starachowice

Dobry projekt (w odpowiedzi Panu B. W.).

Na te i tym podobne tematy kilkakrotnie pisałam; nie chciałabym się powtarzać.

Jednakże wyrażona wątpliwość w otrzymanie odpowiedzi zniewala mnie do wypowiedzania się.

Prawdopodobnie będę jedną z wielu, zamieszczając jasno i szczerze swój głos: „Kobietę, która zapomniała, że jest zamężną i ślubną matką, stawiam niżej od zawodowej prostytutki“.

Lecz wymiar sprawiedliwości winien być stosowany również i do panów, zapominających, że są mężami i ślubnymi ojcami.

Ogólnie ujmując kwestję, na pytanie, dlaczego toleruje się takie panie, przyjmuję, można odpowiedzieć: brak cywilnej odwagi, jak i w wielu innych wypadkach.

Czy się je szanuje, w to wątpię.

Mieni się je przyjaciółkami przez zwykłą ludzką hipokryzję, z którą spotykamy się wciąż i wszędzie. Niestety, przywilej nietylko damskiej natury.

Taki np. obrazek: pewien pan jest w towarzystwie pani ze swej sfery, wie o jej grzeszkach, ale ta pani zachowała pozory. Spotyka w tym momencie swą znajomą, znaną publicznie ze swego zawodu, lub serdeczną sympatyjkę, która nie umiała, albo nie chciała zachować tychże pozorów. I... ów pan nie kłania się owej znajomej, a żegnając się z pierwszą panią, całuje ją w rękę.

Czy to nie analogiczne?

W kwestji matek nieślubnych:

Wniosek Sz. Pana o przymusowej adopcji z pełnią praw materialnych dla dziecka i matki, jest znakomity. Byłby to arcyciśly hamulec na temperament męski.

Ustanowienie podobnego paragrafu zmieniłoby tak dalece rolę, że wówczas panowie świata zmuszeni byłiby czuwać i walczyć z pokusą, lub może i czasem ze sprytnie zastawionemi sidłkami. Tem więcej, że i medycyna pracuje w kierunku możliwości udowodnienia ojcostwa, wobec czego uprawniający nadużycia męskie w tym względzie paragraf kodeksu Napoleona byłby bezsilny.

Marja z nad Warty

Nasi mali harcerze.

Ruchliwe nasze Koło Rodziny Policyjnej zorganizowało drużynę harcerską z dzieci swych członków. Mali harcerze ćwiczą dzielnie; gorliwi i dumni ze swego zrzeszenia.

K. H. — Inowrocław



Drużyna harcerska.